CENA NINIEJSZEGO NUMERU 1 ZŁ. 40 GR.

ŚWIAT

ROK XXV

NR 48

WARSZAWA, DNIA 29-go LISTOPADA 1930 ROKU

Wydawcy: Akc. Tow. Wydawnicze „ŚWIAT". Pod kierownictwem naczelnem STEFANA KRZYWOSZEWSKIEGO

Setna rocznica „Rewolucji Listopadowej" przypomina nam bohaterskie hasło belwederczyków „Do broni!" Warszawa a z nią i cała Polska przez noc tę zrzuciła z siebie kajdany rosyjskiej tyranji i wyzwała na tragiczną wojnę gwarantkę traktatu wiedeńskiego. „Świat" bieżący swój zeszyt poświęca więc wspomnieniom i refleksjom, związanym z tą ważną i wielką w życiu narodu rocznicą.

NOC LISTOPADOWA W ŻYCIU TRZECH POKOLEŃ

Szczęśliwem dziejów zrządzeniem, setną rocznicę Nocy Listopadowej święcimy w Polsce niepodległej: samym więc faktem odrodzonego życia państwowego potwierdzamy tę nieśmiertelną potęgę i żywotność idei, jaka tkwiła w powstańczym czynie Podchorążych.

Gdy o zmroku, w dzień rocznicy, skierujemy kroki swe pod biały pomnik łazienkowski, między zaułki starych koszar, i gdy wsłuchamy się w szmer liści, opadających z drzew, które słyszały szepty spiskowców, któż z nas w piersi swej nie odnajdzie iskry z tego pożaru, który oni przed laty stu zapalili?

Wiemy: walka skończyła się przegraną. Insurekcja, wybuchając z dołu, nie znalazła naczelników u góry, a nie umiała w żywiołowym porywie zapału wynieść ku szczytom władzy wodzów własnych. Zawisła w powietrzu; ze stanowiska ataku dała zepchnąć się na linję obrony; załamała się w osobie dyktatora; zastygła w Lelewelu; owikłała się dyplomacją w Czartoryskim, rozminęła się z genjuszem Prądzyńskiego, sama sobie cios samobójczy zadała w Krukowieckim.

Nawspak wszystkim zdrowym rachubom wojennym i politycznym, nie osiem województw, nie cały naród, ale tylko dwunasta część dawnej Polski, to jest połowa Królestwa Kongresowego, dawała odpór przez osiem miesięcy, od lutego do września, potędze nieprzyjaciela.

Wojna, nim rozgorzała w polu, już była przegrana w duszy sejmu, w duszy rządu, w duszy naczelnego wodza.

Gdy na szablę trzeba było szabli, na broń ognistą — broni palnej, na cara despotę — rządu absolutnego, u steru powstania stanęło bractwo gadatliwe: tytuł bez rzeczy, robota bez wpływu, hałas bez odgłosu.

Konstytucja, ów dar obłudnej polityki cara Aleksandra, ów najniedołężniejszy instrument powstania, rozbity jego pierwszemi strzałami, tworzyła rządy narodowe, improwizowała wodzów, wiodła naród do boju: cóż zgotować mu mogła prócz katastrofy?

Zamiast zdobywać kraje, robiono tylko wycieczki. Zamiast ponieść ofensywę na Litwę i Wołyń, zamknięto się w kręgu oblężenia, które musiało skończyć się kapitulacją.

Nigdy i nigdzie naród w rozstrzygającej chwili nie miał tak nieudolnego kierownictwa, jak Polska w Powstaniu Listopadowem. Nigdy i

nigdzie poprzez świetniejsze karty bohaterstwa nie prowadzono żołnierza do straszliwszego upadku.

Tak. Noc Listopadowa, wybuchnąwszy „odą do młodości", skonała w jęku Cheronei.

A jednak w tragicznym obrazie jej pobojowiska taiło się jakieś zaklęcie czarodziejstwa, jakiś talizman wielkości, która dusze późniejszych pokoleń napełniała skowytem bolu i rozpaczy, ale broniła od niewiary i apatji.

Skąd pochodził ów czar? Co w duszy pokoleń rodziło tę „nadzieję przeciwko nadziei"?

Oto, niezłomne przeświadczenie, że w dniu 29 Listopada sprawa, w imię której powstaliśmy, była nietylko słuszna, ale i potężna, że była nie tylko sprawą świętą, ale i sprawą do wygrania; że naród polski miał w wojnie swojej z Rosją więcej sił do odzyskania tego, co stracił, niż Rosja do sprzeciwienia się tej akcji.

Nie uleglismy przemocy; zwyciężył nas słabszy, lecz sprawniej rządzony nieprzyjaciel.

„Nie niemogliśmy, ale nieumieliśmy — tak określił politykę i strategję powstania Mochnacki, i sądu tego nie obaliły późniejsze, źródłowe rozważania rzeczoznawców wojskowych nietylko naszych, lecz i niemieckich tudzież rosyjskich.

„Jednym z chwalebnych, jednym z prawdziwych powodów rewolucji — mówi jej historyk — był ten także, że się udać mogła".

Ale to, co swym genjalnym wzrokiem dostrzegali Mochnacki i Prądzyński już w pierwszych dniach powstania, inni jego szermierze i uczestnicy zrozumieli dopiero na emigracji. Tam dopiero, na szlakach tułactwa, rozbrojeni i bezradni, pojęli, z dna swojej niedoli, jak blizcy byli zwycięstwa, jak olbrzymie siły potencjalne uległy zaprzepaszczeniu w rękach małodusznych i nieudolnych wodzów.

— Godni pożałowania statyści, jakże wielkimi byliśmy w bojach!

Co zdziałać mógł żołnierz polski w rzadkich chwilach, gdy miał pole do okazania męstwa, to wyjawiły tryumfy Grochowa, Wawra, Dembego. Po tym szeregu batalij i potyczek, w których insurekcja nie uległa i coraz gorętszego nabierała ducha ofensywy, car — rzec można — był jedną stopą już poza granicami Polski.

Ale Skrzynecki, który objął komendę nad wojskiem, już wsławionem dziełami niezrównanej odwagi, miast ducha ofensywy przyniósł po-



zę męczeńską. Zaszczyt, jaki jego, najmłodszego z generałów, spotkał, cierniową nazwał koroną. Obejmując dowództwo, rzekł te pamiętne słowa w rządzie: „Obiecuję świetny grób wykopać dla armji polskiej".

A przecież tym grobem nie stała się nawet Ostrołęka. Podcięła ona moralną siłę powstania, ale go nie złamała. Jeszcze po tym fatalnym dniu, w którym rozbiliśmy nasze 30 tysięcy wojska a kilkanaście tysięcy nieprzyjacielskiej piechoty; jeszcze na kilka dni przed wzięciem Warszawy, nawet na kilka godzin przed odprawieniem gen. Ramorino ze stolicy, car nie mógł być pewien, że zdoła poskromić insurekcję. Zaczepne kroki po bitwie Ostrołęckiej, zniszczenie Rydigera zdawały się okazjami, zesłanemi przez los dla sprostowania wszystkich uchybień naszej komendy. Każda z tych okazyj, gdybyśmy z nich korzystać nie zaniedbali, wyrzucała carat z nad Wisły i Buga.

Z jakiemż uczuciem rozbitkowie złamanego powstania, osiadłszy na bruku miast i miasteczek francuskich, z jaką tęsknotą i rozpaczą poglądać musieli ku owej Nocy Listopadowej, która tak niezliczone otwierała okazje zwycięskiego z Moskwą rozrachunku!

Jak piękną wydawać im się musiała Polska w owej nocy przełomowej, gdy na zegarze Łazienkowskim wyroczna uderzała godzina; gdy naprawdę ojczyzna „zachodziła brzemieniem w wielką przyszłość, ogarniającą połowę świata"; gdy w sali Podchorążych Wysocki, dobywszy szpady, wołał głosem donośnym: „Polacy! godziną zemsty wybiła; dzisiaj zwyciężymy, albo polegniem, — nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami!"

Nic tragiczniejszego i boleśniejszego, niż ta po niewczasie zdobyta świadomość potęgi, której ani ocenić, ani użyć w zapasach z wrogiem nie umiano.

Bohaterska inicjatywa Podchorążych, która nie mogła kraju natchnąć wiarą we własne siły i wiarą tą zwyciężyć, miała całkowite odnieść zwycięstwo — nie orężne, lecz moralne — dopiero tam, w łonie emigracji, a przez emigrację zdobyć rozmachem swym i wziąć we władanie duszę całego narodu.

Najszczytniejsza pieśń świata — Mickiewicz, Słowacki, Chopin, Norwid, Krasiński, a po nich Wyspiański i Żeromski — podjęła dzieło Nocy Listopadowej i bój zaczęty na ziemi toczyła dalej w ogniu i w gromach piekieł i niebios.

Genjusz kreacji twórczej, wcielając się w nieśmiertelne postaci buntu i wolności, zaciągnął wartę na posterunkach, opuszczonych przez żołnierzy; sprawił, że Polska, którą wykreślono z mapy, nie przestała być groźna dla ujarzmicieli.

Noc Listopadowa, łuna jej entuzjazmu, wspomnienie orężnych rozpraw Polski z Moskwą, w których obie strony stanowiły niemal równorzędne potęgi i musiały ciężkim wysiłkiem wydzierać sobie nawzajem krwawe zwycięstwo: wszystko to, jak testament, ożyło w poezji i trwało w sercu Polski, tworząc niezdobyty dla wrogów szaniec ducha.

O tym szańcu i jego utajonej potędze dobrze wiedzieli Rosjanie. Pamiętali o nim nawet wtenczas, gdy „politycy" polscy o nim zapominali. Bo nawet wtenczas nie ulegał zawieszeniu stan wojenny w Warszawie.

Tę podziemną nieobliczalną potęgę polską śledzili z trwogą zaborcy nasi w najdalszych jej przejawach, w najcichszych pomrukach. Jak pożaru, lękali się nieraz jednej pieśni Chopina, jednej książki Mickiewicza, jakgdyby odgadując, że ta pieśń, ta książka jest echem lub pobudką powstania. W modlitwie dziecka polskiego, wychowanego na „Księgach Pielgrzymstwa", przeczuwał car moskiewski przekleństwo, które go może powalić.

Żadna pora roku nie zdawała się najeźdźcom w Polsce dość bezpieczna: każda jesień przypominała im Noc Listopadową; każda wiosna szumiała olszyną Grochowa; każda zima mówiła o powstaniu Styczniowem. W każdym wschodzie słońca wschodził bunt tej ziemi, w każdym zachodzie broczyły krwią jej rany, świadczące, że Polska nie ugięła się do jarzma.

Czyn Podchorążych, którzy sto lat temu chcieli naród swój wyrwać z pod berła carów północy, nie uwieńczył się powodzeniem, ale pokazał, czem była, czem stać się mogła Polska ówczesna w ręku żołnierzy Grochowa i Ostrołęki „Ta wyborna, z niczem niezrównana piechota — powiada Mochnacki — nawet karłom powstania nada na chwilę proporcje kolosalne".

Na chwilę!

Ale wspomnieniem, posiewem i puścizną duchową tej chwili potężnej i bohaterskiej żyły i nadzieję swoją żywiły trzy pokolenia polskie w krwawej — przez mogiły i krzyże pielgrzymce ku niepodległości.

W. Rzymowski

ZDOBYCIE ARSENAŁU 29/XI 1830 R. W WARSZAWIE (WEDŁUG STAREJ LITOGRAFJI) Fot. Photo-Plat

BITWA POD TYKOCINEM 21/V 1831. PŁK. LANGERMANN, FRANCUZ, NA CZELE PUŁKU 16 PIECHOTY. OBRAZ OLEJNY ART. MAL. SEBASTJAN DULACA Fot. A. Janczewską

Tradycja listopadowa

Stanisław Szpotański, znany literat i historyk, źródłowy badacz „rewolucji listopadowej", dzieli się z czytelnikami naszymi interesującemi wywodami o ludziach i wydarzeniach wojny polsko-rosyjskiej 1830 r.

Latem 1912 r. Stefan Żeromski powrócił z zagranicy i przywiózł z sobą *Urodę życia*. Mam u siebie egzemplarz z dedykacją, dość charakterystyczną, aby ją częściowo— w całości jest zbyt osobista—przytoczyć:

„Drogiemu panu S..... S...... na pamiątkę.........— przesyła to żałosne widzenie urody bytu jej poszukiwacz Stefan Żeromski".

Po przeczytaniu tej książki mówiłem długo z Żeromskim o dalszych jego planach powieściowych. Namawiałem go, aby napisał rzecz o listopadowem powstaniu. Przyrzekałem, że najskrupulatniej dostarczę cały potrzebny materjał.

— Ja tego pisać nie mogę, rzekł.

— Dlaczego? Kto jak kto, ale pan czuje furję dobywanego pałasza.

To go wzięło, rozruszał się, skończył jednak temi słowami:

— Nie, panie Stanisławie. Ja pisać tego nie mogę. Jest to zanadto smutne.

Powstanie listopadowe zanadto smutne było dla Stefana Żeromskiego! Dla autora „żałosnego widzenia urody bytu" — dla autora „Rozdziobią nas kruki, wrony..." — dla autora „Wiernej Rzeki".

Nie ze względu więc na klęskę powstanie listopadowe zbyt smutne było dla Żeromskiego, ale ze względu na ludzi, biorących w niem udział.

Interesował go bohater, łamiący się z przeciwnościami losu, męczennik, upadający pod brzemieniem klęski powszechnej, ale zanadto smutne wrażenie czynił człowiek i naród przez takich ludzi prowadzony, którzy z furją dobywali pałasza, ale bohaterami w jego rozumieniu nie byli.

I wiem z tychże z nim rozmów, że największy kult miał dla Łukasińskiego, to jest dla męczennika tej epoki, i dla Machnickiego, któremu jakoby naczelne dowództwo insurgenci proponowali, ale który go nie przyjął, i widząc jak rzeczy idą, wyjechał za granicę. Nazwisko Machnickiego plącze się, jak wiadomo, w Żeromskiego utworach.

A teraz.

Z punktu widzenia ówczesnych studjów historycznych i opinji powszechnej, która o powstaniu się ustalała, Żeromski miał najzupełniejszą rację. Bo jaki byłby wniosek, sformułowany bezwzględnie, z całą surowością logiki, na który nie zawsze stać historyka, z natury swojej pełnego restrykcji i wahającego się przy wydaniu ostrego sądu, ale na który zawsze stać prawdziwego artystę?

Wniosek byłby taki:

Garstka wojskowych spiskowców, chwytana już za ramię przez policję, ratując swoje głowy, dobyła z furją pałasza i poprowadziła naród do powstania. Przebieg powstania mógł jeśli nie doprowadzić do ostatecznego zwycięstwa, to zakończyć się zupełnie innemi warunkami, niż te, które nam Paskiewicz oznajmił podczas szturmu Warszawy. Powstanie mogło się zakończyć choćby umocnieniem wolności konstytucyjnych. Niedołęstwo i kaprysy wodzów doprowadziły do zguby. I wreszcie ci, którzy się bili, i ci, którzy losy kraju zaryzykowali, przeszli granicę i poszli na emigrację. Wojsko opuściło kraj z bronią w ręku, i kraj ten wystawiony został na długie czasy na gwałty i bezprawia.

Wyspiański nie przyjmował płynącej stąd oceny ludzi, ale nie mógł, zastanawiając się nad historycznemi danemi, ocenić ich inaczej, niż to uczynił w *Warszawiance* i *Lelewelu*, ocenić ich inaczej, niż Hamletów. Jeżeli to byli ludzie coś warci, to byli Hamleci. Ulegał też pewnie suggestji Kordjana. W *Nocy Listopadowej* sąd swój jednak bardzo zmienił, i słusznie.

Naogół można powiedzieć, że sąd o ludziach listopadowych nie wypadał zbyt dodatnio, przynajmniej w tem, co pisane o nich było.

Lecz w ogóle polskiego społeczeństwa istniał dla nich duży kult i postacie ich były zawsze porywające.

Ten ogół się nie mylił. Ludzie listopadowi nie byli ani Hamletami, ani ludźmi lekkomyślnymi, nie wiedzącymi, czem jest odpowiedzialność polityczna.

Raz i nazawsze sąd ten odrzucić trzeba. Setna rocznica powstania listopadowego niemało do tego się przyczyni.

Prawdą jest, że Chłopicki zawiódł, że Skrzynecki nie dopisał, że kapitaliści się trochę, a może nawet bardzo bali, ale jest nieprawdą, że Podchorążowie wszczęli powstanie, aby ratować swoje głowy, jest nieprawdą, że zbyt lekkomyślnie przechodzono granicę, albo że złożenie z tronu Mikołaja było aktem pozy i deklamacji.

Sprzysiężenie było przygotowywane od dawna, wybuch musiał nastąpić, choćby, nawet na nikogo podejrzenie policji nie padło, a jeśli o kilka dni lub tygodni przyśpieszony został, to przecież ratować trzeba było organizację powstańczą! Jeśli ci ludzie poważnie o powstaniu myśleli, to nie mogli się dać wyłapać, musieli ocalić organizację, bez której powstania by nie było. To było ich obowiązkiem i nakazem konieczności.

Że też takie proste rzeczy tym mądrym historykom i tym statystom z bożej łaski nie przychodzą do głowy! Bo nawet gdzieś teraz takie głębokie wmyślania się w tę rzecz czytałem.

Kapitaliści zawsze i wszędzie jednakowo boją się powstań i rewolucji. Nasi jakąś specjalną nikczemnością się nie odznaczali.

Detronizacja Mikołaja nie była pozą ani deklamacją, ale odpowiedzią, bardzo godną i piękną odpowiedzią, na jego manifest do narodu polskiego. Zresztą dla jasności sytuacji detronizacja była konieczną.

Przechodzenie granicy następowało w chwilach, nie dających innego wyjścia. Wiemy, jak został przyparty Dwernicki, jak został obsaczony Giełgud, a po wzięciu Warszawy, po widocznej już klęsce, Rybiński nic innego nie miał do uczynienia.

Może znowu ratowali swoje głowy? Tego przynajmniej powiedzieć nie można, bo przecież odrzucili ofiarowaną sobie amnestję.

A oficerowie i żołnierze z korpusu Dwernickiego przedzierali się przecież z powrotem przez granicę i znowu wchodzili do powstania. A ci, którzy wyszli i dostali się do Francji, wyszli z zamiarem i nadzieją prowadzenia walki dalej, czy to przez formowanie legjonów, czy biorąc udział w europejskich rewolucjach, wybuchających przeciw Świętemu Przymierzu. Dali tego dowód dostateczny.

Jakiekolwiek zaś były niedomagania, to co one znaczą wobec bohaterstwa całego wojska i poświęcenia całego kraju? Co one znaczą wobec Stoczka, Igań, Wawra, Grochowa! I wobec redut warszawskich!



LISTOPAD 1830 R. LITOGR. FRANCUSKA
Fot. A. Janczewska



ŚMIERĆ GEN. SOWIŃSKIEGO NA WOLI 6/IX 1831.
Fot. Photo-Plat



ŻOŁNIERZ EMIGRANT. SZTYCH HIPPOLITA BELANGE



OSTATNIE CHWILE OFICERA POLSKIEGO. LIT. FRANC. LEMERÇIERA
Fot. A. Janczewska

Pokolenie listopadowe nietylko bić się, ale i żyć umiało. W ciężkiem i nędznem życiu emigracji wystarczająco przejawiło swój charakter. Kilka zaledwie słabych jednostek przyjęło amnestję. Cała emigracja odrzucała ją dumnie aż do końca. Wracali do kraju jako emisarjusze i ginęli na szubienicach. Szli za Mickiewiczem do Włoch, i tłukli kamienie na szosach greckich. Szli do Turcji, aby z nią walczyć przeciwko Rosji. Uratowali wreszcie myśl polską i wolne polskie słowo. Byli to ludzie tędzy, dzielni, bohaterscy. Patrjoci niczem niezłamani, elita narodu.

Nie Hamleci, lecz Prometeusze!

Stanisław Szpotański

Dyplomacja powstania

Nie mieliśmy właściwie wyszkolonej dyplomacji. Po rozbiorach, gdy chrzęst oręża legjonowego rozlegał się za Alpami, uważało się za uprawnionych dużo ludzi do kruszenia kopji na arenie międzynarodowej. O sprawiedliwość wołał Albert Sarmata (Turski) przed konwentem paryskim, wołał i Kazimierz Laroche, półkrwi Polak, zwolennik Ajencji Barssa, następnie jej przeciwnik. „Iść w dyplomaty" było zdaniem współczesnych przedsięwzięciem naturalnem, nie wymagającem poprzedniego odskoku. Powołanie do życia Królestwa Kongresowego nie zmieniło postaci rzeczy. Nowe państewko, związane na „wieczne czasy" unją z caratem, nie posiadało własnego zastępstwa dyplomatycznego, powstawało pod opieką carskich placówek zagranicznych. Jakby dla okrasy i zaspokojenia opinji publicznej przydzielono do tej lub owej legacji obywatela Królestwa, np. Kossakowskiego do ambasady w Rzymie. Zresztą biały orzeł krył się pod skrzydła rosyjskiego dwugłowego. Bo trudno mówić o osobnym oddziale dyplomatycznym przy wielkim księciu Konstantym, który był prawdziwym dziwotworem celem połechtania ambicji brata cesarskiego. Nie miał zatem gdzie Polak nowoczesny kształcić się w zawodzie. Dopiero gdy wicher zatrząsł strzechą rodzimą, szukało się ochotnika. Kto nim nie był w okresie Napoleońskim?

Pomijając kutego na cztery nogi palestranta warszawskiego Barssa, przypinał szpadę negocjatora Dąbrowski, Wybicki, Kościuszko, ostatni niezaradnie, aż doczekał się ujemnych określeń z ust Talleyranda.

Zdawało się, że rzucenie kości i dobycie miecza usuwały na bok wszelkie układy i papierowe memorjały. Jednakże rewolucja miała szczególny odcień. Jej ostateczne zamierzenia nie wciągały w krąg swój przywrócenia zgwałconego porządku, poręczonego konstytucją i kongresem wiedeńskim, one sięgały znacznie dalej i głębiej. Nie postawiono jako tezy granic z 1772 r., aby nie ściągnąć nienawiści wszystkich zaborców, ale miano na myśli Podole, Wołyń, Litwę, więc okraje, uważane nad Newą za najważniejsze połacie ochronne na kresach. Wyłoniła się zasada wskrzeszenia państwowości skurczonej, ale niezawisłej, odkutej od rydwanu rosyjskiego, znacznie rozleglejszej, niż chciał dyktat z 1815 r.

Trzeba było zatem nietylko lauru krwią zroszonego, ale i natężenia mózgu, wyjednania obcej pomocy i życzliwości.

Na szczęście, szkoła wychowania narodowego wyrównywała poniekąd braki odpowiedniego zakładu przygotowawczego. Dawne domy i pałace, wyposażone często w cudowne bibljoteki, tradycja przekazywana z pokolenia na pokolenie, rozpęd szlachecki do statystyki i orjentowania się *in publicis*, wyjazdy zagranicę, wszystko to przyczyniło się do wykształcenia grupki, która mogła stanąć do apelu w razie potrzeby. Wszakże owe legacje minionych wieków Zbaraskich, Burskich, Ossolińskich, wszakże misje Olszowskich, pełne oratorskiego rozmachu, były pierwowzorem obowiązków względem Ojczyzny.

A. przed politykami rewolucji roztwierała się praca nielada.

Należało rozpędzić widmowe niemal wyobrażenie o potędze Rosji i jej nieskończonych możliwościach, należało skłonić do działania Francję i Anglję, należało zażegnać obawy Prus i Austrji, ruszyć Turcją, ustawicznie zagrożoną zachłannością caratu i chęcią odegrania roli protektora chrześcijan ottomańskich, należało wyrwać ze śpiączki Szwecję, rozgoryczoną zaborem Finlandji, przeorać pługiem sprawnym cały niemal stary kontynent. Wobec podobnie wielostronnych zadań nie stała chyba żadna na świecie dyplomacja. Stanęła jednak polska, aczkolwiek reprezentowała kraj pokrajany, kraj bez przyjaciół i oparcia. Musiała zatem wszystko tworzyć z pustki, brnąć naprzełaj wśród grzęzawisk, aby z mułu wydobyć bodaj źdźbło korzyści. Rozpruć trzeba było tkaninę świętego przymierza, rozluźnić ogniwa, spajające system międzynarodowy.

Nie patrzano na trudności beznadziejnie. Wiara, płynąca ze złych doświadczeń, stała się latarnią magiczną, wydzielającą światło przed oczami emisarjuszów narodowego ruchu. I gdy Chłopicki czy Skrzynecki, przeżarci czerwiem zwątpień, bili się mając przed sobą starohelleńską Ananke, pewność przegrania ostatniej stawki, trzymali się nasi dyplomaci hartowniej, nie upadali pod ciężarem niepowodzeń, owszem, trwali z nieugiętą zawziętością. Palma energicznej akcji spoczęła w dłoniach Adama Czartoryskiego, ongi ministra spraw zagranicznych Rosji. Niepodobna było znaleźć idealniejszego i mądrzejszego sternika. Zawsze przewidujący, robił mistrzowskie posunięcia i wtenczas, gdy dawał sam rozporządzenia lub też po nominacji Gustawa Małachowskiego, posła szydłowieckiego, jego następca, zachował zwierzchnią kontrolę nad wydziałem umiłowanym. Jego trud zasługiwał na tem większe uznanie, że liczyć mógł na współpracę materjału surowego, na urzędników, którzy dopiero co wsuwali nogę w strzemię.

Chwilami zdawało się, że sceny groteskowe zabijały powagę ponurych wydarzeń.

Oto, dwudziestodwuletni, Edward Koźmian, syn kasztelana Kajetana, filara klasycyzmu, autora „Ziemiaństwa", wyjechał na drogę między Berlinem a Królewcem w zamiarze rozmówienia się z księciem Montemart, wysłannikiem Ludwika Filipa do Petersburga. W Vogelsdorf odbyła się wymiana myśli. Młodzieniec spisał się niezwykle dobrze, ujrzał odchylone karty nadzwyczajnego ambasadora i uzyskał na pożegnanie radę, aby nie oglądano się ani na Francję, ani na Anglję, ani sympatje narodów, tylko nawiązano rokowania z Petersburgiem...

O rok młodszym jeszcze reprezentantem Rządu powstańczego był Aleksander Walewski, syn Marji i Napoleona. Ten z wrodzonym talentem starał się zjednać lorda Palmerstona i chociaż *Foreign Office* kokietowało najwyraźniej Rosję, umiał przecież zobowiązać so-

bie ambasadora Ludwika Filipa nad Tamizą, Talleyranda i skłonić go do naciśnięcia dworu paryskiego, aby w Londynie wystąpił z propozycją interwencji. Ale mało! Talleyrand ostrożny napierał na Austrję w sprawie zrzeczenia się przez nią Galicji i zwołania do Wiednia kongresu dla uregulowania sprawy polskiej!

Punkt ciężkości spoczywał jednak w Wiedniu i w Berlinie.

W pierwszym pracował zabiegliwie i uczciwie brat księcia Adama, Konstanty Czartoryski.

Detronizacja Mikołaja wbiła ciernie w starania naszej dyplomacji. Zagranicą zaczęto przebąkiwać o karbonaryzmie, o duchu rewolucji, niosącym trąd i zaburzenia. Dogmatyzujący Metternich wszędzie dostrzegał majaki buntu, nie chciał o niczem słyszeć, odrzucił koronę polską, ofiarowaną arcyksięciu Karolowi, zwycięscy z pod Aspern, dopuścił agentów Rządu Narodowego, prezesa hr. Jelskiego i pułkownika Bojanowicza, zaledwie do Nikolsburga, aby przed hr. Clam Martinitzem bezużytecznie przedstawili życzenia, był głuchym i dostatecznie niewidomym, aby rozróżnić ruch niepodległościowy od socjalnego.

Można sumarycznie powiedzieć, że nad Sekwaną, Tamizą, Dunajem i Sprewą rozlegała się ta sama nuta powtarzana na odmienne warjanty: idźcie do Petersburga, posypcie głowy popiołem, a cesarz przebaczy. Jedni wygłaszali formułę ornamentacyjnie w omaście słodyczy i pochlebstw, inni w chłodnej i sztywnej. Urok Rosji był ogromny, coś niecoś przebąkiwano o glinianych nogach, ale zarazem i kolosie na nich osadzonym. Czasem rozgrywały się dramatyczne sceny z powodu „przyjacielskich" perswazyj. Kniaziewicz, w Paryżu, usłyszał z ust marszałka Sebastiani suggestję i aż zatrząsł się z bólu i oburzenia. Po tylu poświęceniach i zwycięstwach żądano pójścia do Kanossy! „Pierwszym artykułem układu z cesarzem — odparł — jest złożenie broni, a drugim — zdanie się na łaskę... Jakżeż naród i armja polska mają tę hańbę spełnić? Nigdy!"...

Najmniej ceremonjowały się Prusy. Fryderyk Wilhelm, teść Mikołaja, kazał wystawić korpus obserwacyjny pod dowództwem Gneisenaua. I jemu dała się dyplomacja polska we znaki i jemu misja Mostowskiego i Alberta Grzymały spędzała sen z oczu. Wszakże ostatni zdobył dla propagandy słynnego prawnika Gansa, którego po kilku występach zmuszono do milczenia.

Powodzenia odnosili zatem nasi tu i owdzie, pozbawieni zasobniejszych środków, zmuszeni do starania się o pożyczki zagraniczne, o dostawę broni, do jednania opinji, łamania uprzedzeń i złej woli gabinetów. Mimo to byli wartością twórczą i poważnem ogniwem w ówczesnej konstelacji. Choćby przytoczyć znalezienie się hr. Romana Załuskiego. Wysłany do Szwecji, zdołał zaledwie dotrzeć do Göteborgu, gdyż — jak nadmienia Barzykowski — wiatr moskiewski wiał po ulicach Stockholmu. Za przyczynieniem się ambasady rosyjskiej musiał opuścić ziemię szwedzką. Po dłuższej tułaczce stanął w Belgji, gdzie powagą swoją zdołał skłonić kraj, zrewoltowany przeciw zwierzchnictwu Holandji, do przyjęcia t. z. protokułu londyńskiego, kamienia węgielnego niezawisłości nowego państwa. Zdawało się, że Anglja, pozbywszy się troski połączenia Belgji z Francją, podeprze choćby z wdzięczności honor sztandaru polskiego, ale i ona, zapatrzona w bastjon nadnewski, nie wynagrodziła dzieła Załuskiego.

Wkońcu uległa nasza dyplomacja, jak uległ sławny oręż, jednakże w aktach zostawiła dowody niezwykłej prężności i znamienitego wysiłku. Pokonać nie mogła krótkowidztwa Metternichów, Gentzów czy pruskich Ancillonów, nie zdjęła z oczu Palmerstonów i Sebastianich bielma, ale zrobiła, co mogła. Nie jej to było winą, że postawiono stawkę na silniejszego, a słabszemu pozwolono pławić się we krwi i iść w ramiona tragicznego przeznaczenia.

Ernest Łuniński

Za wolność ludów

W roku 1830 Polacy, obywatele kongresowego Królestwa Polskiego, podjęli walkę o polskie prawo państwowe — rewolucję przeciwko swemu wiarołomnemu monarsze, który konstytucję Królestwa podeptał. Ale nie była to tylko rewolucja. Zarazem było to powstanie. Powstanie całego narodu polskiego przeciwko ciemięzcy „krajów zabranych", rozległych ziem Rzeczypospolitej, wcielonych do cesarstwa Rosyjskiego. Car Aleksander kilkakroć łudził Polaków nadzieją, że rozciągnie dobrodziejstwa polskiej państwowości na te ziemie. Polacy z Królestwa nie umieli cieszyć się samodzielnością tego skrawka Rzeczypospolitej, które objął twór kongresu wiedeńskiego. Nie umieli się pogodzić z okrojeniem Polski, z niewolą współbraci.



GEN. LA FAYETTE

Ich patrjotyzm obejmował całość historycznej ojczyzny. Wojna Królestwa Polskiego z imperjum rosyjskiem była wojną o Litwę i Ruś — jeszcze jedną i jeszcze nie ostatnią.

A że to była wojna z wrogiem wolności, z „żandarmem Europy" — na polach bitew polskich ważyły się losy nietylko Królestwa Kongresowego, i nietylko dawnej Rzeczypospolitej.

Na Zachodzie, we Francji, nie ugruntowało się naówczas jeszcze zwycięstwo rewolucji nad reakcją ponapoleońską, w Belgji wrzała jeszcze walka o niepodległość przeciwko panowaniu holenderskiemu, narzuconemu przez tenże porządek ponapoleoński. Mikołaj zamierzał poprzeć zbrojnie ciemiężycieli. Nie pozwoliła mu konieczność wytężenia wszystkich sił olbrzymiego cesarstwa przeciwko garstce bohaterskich Polaków. Polska przegrała, ale ocaliła wolność Francuzów i niepodległość Belgów. Przyznają to teraz historycy francuscy i belgijscy, oświadczają nam wdzięczność swoich narodów.

Zrazu nie było to jasne, nie było wspominane chętnie. Szlachetni wyrażali nam współczucie. Najszlachetniejsi daremnie wołali o pomoc dla nas.

Piękne dał świadectwo najlepszym tradycjom, piękny gest przyjaźni narodów uczynił Dr. L. Barot Forlière, ofiarując Rządowi Polskiemu za pośrednictwem Pana Ministra Spraw Zewnętrznych Za-

AUTOGRAF LISTU GEN. LAFAYETTA DO LUDWIKA FILIPA

leskiego list własnoręczny Lafayette'a do króla Ludwika Filipa, w którym francuski bohater dwóch światów, weteran walk o wolność Ameryki, wyraża gorące życzenie, aby Francja okazała pomoc narodowi bratniemu duchem.

„Sire

Je suis vivement touché des bontés de Votre Majesté qui, ainsi que son approbation, me seront toujours bien chères. La journée d'hier ne m'a point fatigué: puissent toutes celles du procès) se passer aussi bien! J'ai aussi à remercier le Roi de m'avoir parlé de la Pologne, sur laquelle j'avoue que ma tete n'est pas mal montée. Quelle gloire en effet pour Notre Révolution et pour votre Règne, si la honte des dernières années de Louïs quinze et la perfide indifférence de Bonaparte à l'égard de ce malheureux païs pouvaient être reparés!*

J'offre de tout mon coeur à Votre Majesté l'hommage de mon attachement et de mon respect

Lafayette

Paris, 13 décembre 1830".

„Najjaśniejszy Panie

Jestem bardzo wzruszony dobrocią Waszej Królewskiej Mości, jak również i Jej zgodą, która mi będzie zawsze bardzo droga. Dzień wczorajszy nie zmęczył mnie wcale; oby następne dni procesu*) przeszły równie dobrze. Mam też do podziękowania Królowi, że zechciał mówić do mnie o Polsce, której — wyznać muszę — mam głowę pełną. Jakaż byłaby to zaiste chwała dla naszej rewolucji i dla panowania Waszej Królewskiej Mości, gdyby hańba ostatnich lat Ludwika XV i wiarołomna obojętność Bonapartego względem tego nieszczęśliwego narodu mogły być naprawione.

Składam z całego serca Waszej Królewskiej Mości hołd mego przywiązania i mego szacunku

Lafayette

Paryż, 13 grudnia 1830".

Pożółkła karta cennego dokumentu przechowywana będzie z szacunkiem w Archiwum Głównem akt dawnych w kopercie, na której szanowny ofiarodawca, wyraziciel własnej i swego Narodu bezcennej ku nam przyjaźni, własnoręcznie napisał z wymowną prostotą:

„Lettre autographe du celèbre général La Fayette alors agé de 73 ans, au Roi Louis Philippe, à propos de l'Insurrection Polonaise de 1830.

offerte au Gouvernement Polonais le 8 nov. 1930.

Dr. L. Barot Forlière".

„List własnoręczny słynnego generała La Fayette, liczącego wówczas 73 lata, do Króla Ludwika Filipa, z powodu Powstania Polskiego 1830,

ofiarowany Rządowi Polskiemu 8 listopada 1930.

Dr. L. Barot Forlière".

J. S.

*) Mowa oczywiście o sprawie przeciwko rządowi Karola X o nieprawne rozwiązanie Izb (zaczęła się dn. 15 grudnia).

„Związek Dobroczynności Patrjotycznej"

W miesiąc po nocy listopadowej, panie warszawskie stanęły do trudnej pracy sanitarnej w lazaretach, szpitalach, przychodniach. Zorganizowała je kierowniczka, Klementyna z Tańskich Hoffmanowa, głośna autorka, kobieta wielkiego serca i niepospolitej urody. Przed stu laty był to wyłom w zwyczajowości. W organizacji wojska służba zdrowotna niewiele znajdowała miejsca. Inicjatywa Klementyny Hoffmanowej była śmiałą, arcyludzką akcją, spieszącą na pomoc walczącej armji. Pod przewodnictwem jej pracowano też nad ulżeniem niedoli ubogiej ludności. Warszawę nawiedziła podczas wojny plaga cholery. I na tym szańcu pracy ofiarnej znalazły się panie z komitetu.

Klementyna z Tańskich Hoffmanowa była dzieckiem Warszawy. Urodziła się na Starem-Mieście w kamienicy „Pod Fortuną". Jako autorka poczytnych ongiś powieści „Jan z Czarnolasu", „Krystyna", „Karolina", redaktorka „Rozrywek dla młodocianego wieku", kuratorka zakładów naukowych żeńskich, cieszyła się powszechnem uznaniem i szacunkiem. Obok niej dziedzo samarytańskie czyniły Amelja Wulfers, Katarzyna Sowińska, Anna Suchodolska, Aleksandra Traczewska. Klementyna Hoffmanowa była „opiekunką naczelną", pozostałe panie „opiekunkami czynnemi".

Autorka „Listów Elżbiety Rzeczyckiej" w pamiętniku swoim zanotowała: „w dniu 21 grudnia 1830 r. w małem towarzystwie Amelja Wulfers przypomniała związki patrjotyczne kobiet za wojen francuskich i



KLEMENTYNA Z TAŃSKICH HOFFMANOWA

rzuciła myśl, żeby podobne tworzyć i u nas. Piękny ten pomysł skwapliwie był uchwycony, a gdy przytomne osoby jednozgodnie mnie zaszczyciły naczelnictwem, zajęłam się natychmiast napisaniem stosownej odezwy, a po naradach nakreśliłam i ustawę związku". Tytuł tej instytucji brzmiał: „Związek dobroczynności patrjotycznej po domach". Zakrzątnięto się energicznie nad zbieraniem funduszów, stworzono kasę pomocy dla potrzebujących tak wojskowych, jak i ludności cywilnej. Pod datą 11 sierpnia 1831 r. Tańska zapisała:

„Związek nasz idzie doskonale. Tysiąc złotych daliśmy korpusowi Dembińskiego, bo wielu obdartych i potrzebnych. Teraz zbieramy na szkółkę dla sierot po poległych".

Przez cały czas wojny Klementyna z Tańskich Hoffmanowa ofiarnie spełniała swój patrjotyczny obowiązek. Ciche, nieznane czyny zorganizowanych przez nią dam warszawskich zasługują, by wspomnieć o nich w setną rocznicę.

F.



PAŁAC W PUŁAWACH W R. 1830: WIEŚCI Z PLACU BOJU. LITOGR. VILLAIN



ODCZYTYWANIE WIADOMOŚCI Z POLSKI PRZEZ LUD FRANCUSKI
LIT. HIPPOLIT BELLANGE

Fot. A. Janczewska



CZARTORYSKI ADAM JERZY



Fot. Photo-Plat

KS. KSAWERY DRUCKI-LUBECKI

POLITYCY WOJNY POLSKO-ROSYJSKIEJ

Czartoryski Adam Jerzy

Jako 26-letni młodzian wysłany został na zakładnika do Petersburga, gdzie zostawszy adjutantem W. Ks. Aleksandra, zyskał jego względy i przyjaźń. Należał do czwórki przyjaciół osobistych w. księcia (Koczubeja, Strogonowa, Nowosilcowa), z którymi Aleksander, wychowany przez liberalnego szwajcara Laharpe, oddawał się konstytucyjnym i liberalnym marzeniom. Z Czartoryskim zaś specjalnie ubolewał nad Polską i obiecał mu, że odbuduje to, co babka zniszczyła. Jednocześnie wszedł Czartoryski w dziwny stosunek z w. księciem, późniejszym carem, pokochał głęboką wzajemną miłością żonę Aleksandra, Elżbietę, której car nie lubił, zakochany sam będąc w damie dworu, z Czetwertyńskich Naryszkinowej. Romans kwitł za wiedzą cara, który dał mu swą aprobatę, a z związku tego urodziła się córka. Po wstąpieniu Aleksandra na tron został Czartoryski rosyjskim ministrem spraw zewnętrznych i kuratorem okręgu wileńskiego, ale wkrótce w 1805 r. jego antypruska polityka została utrącona przez zwolenników przymierza z Prusami i Czartoryski musiał ustąpić Dołgorukiemu, zatrzymując jedynie kuratorstwo okręgu wileńskiego. Na usilne żądanie Aleksandra przybył Czartoryski na początku 1811 r. do Warszawy, celem pozyskania Księstwa przeciw Napoleonowi, przybył z kuszącą obietnicą złączenia ziem polskich po Dźwinę i Dniepr pod berłem cara. Ale Książę Józef odrzucił kategorycznie ofertę. Po klęsce armji napoleońskiej w 1812 r. stanął Czartoryski na czele Deputacji, która udała się do Aleksandra, aby zajęte Księstwo w łaskawą swą przyjął protekcję. Po zajęciu Księstwa przez Rosjan w 1813 r. wstąpił Czartoryski do masonerji i pod jej auspicjami założył pierwszy w tej dobie tajny związek polski; przywalony jednak w ciągu dwulecia 1813 — 15 r. ogromnem zadaniem głównego przed Europą orędownika sprawy polskiej, doprowadził do stworzenia Królestwa Kongresowego, natomiast założony przez niego związek zgasł po utworzeniu i zorganizowaniu Królestwa. Później oddziaływał na masonerję przez oddanego sobie Ludwika Platera, namiestnika prowincjonalnej loży wileńskiej.

W 1815 r. wszyscy oczekiwali, że właśnie Czartoryski będzie namiestnikiem w Królestwie. Stało się inaczej: namiestnikiem został Zajączek, naczelnym wodzem W. Ks. Konstanty zamiast Kościuszki, komisarzem pełnomocnym Nowosilcow. Czartoryski już w lipcu 1815 r. nie zawahał się odsłonić przed Aleksandrem prowokacyjnego zachowania się Konstantego i domagać się jego odwołania. „Wróg nie mógłby bardziej szkodzić W. C. M.". Aleksandrowi chodziło, ażeby przyzwyczaić brata swego a przyszłego cara-autokratę do Polski i Polaków oraz pogodzić go z myślą połączenia Litwy z Polską. A tymczasem między Konstantym a Nowosilcowem nie było miejsca dla Czartoryskiego. Umieszczony jedynie dla pozoru, bez teki, w Radzie Administracyjnej, był denuncjowany ustawicznie przed cesarzem przez Konstantego, Nowosilcowa a nawet Zajączka. Cesarzowi wypowiadał ustnie prawdy gorzkie i przesyłał poważne ostrzeżenia. Tymczasem położenie jego względem cara, wśród podobnych powikłań, stawało się coraz drażliwsze. Uleciała dawna egzaltacja skomplikowanej przyjaźni, zwietrzał sztuczny urok niepospolitości, pozostał natomiast niesmak gorzki i zatruty, powiada biograf Czartoryskiego, prof. Askenazy. Usunięty z rządu, był Czartoryski zdala trzymany od spraw. Nie ukazywał się w Radzie Administracyjnej, ani jako senator-wojewoda na Sejmie. Przesiadywał zagranicą, albo u siebie na wsi. Wyparowany z Królestwa, pozostał jeszcze, jako kurator wileński, czynnym na Litwie. Ale w 1823 r. Nowosilcow rozpoczął prześladowanie szkolnictwa wileńskiego. Czartoryski został zagrożony na swem stanowisku kuratora. Niezrażony tem, odkrywał przed carem denuncjacyjną taktykę Nowosilcowa, domagał się wcielenia 6 gubernij litewskich do Królestwa. Ostatni raz przyłapał Aleksandra na postoju w Wołosowcach, jesienią 1823 roku. „Nieszczęściem W. C. M. jest, że nie wierzysz nikomu i że nie umiesz czynić różnicy między uczciwym człowiekiem a obłudnikiem". Takim tonem tylko on mógł przemawiać do najpotężniejszego władcy na świecie. Próżny był jednak apel do rozwianych ideałów i wzruszania popiołów wygasłej przyjaźni (Askenazy). Cesarz przyjął dymisję Czartoryskiego z kuratorstwa wileńskiego i pożegnali się poraz ostatni. Pod ojcowską pieczą ks. Adama, za jego wiedzą, zawiązały się teraz, rozwijały i wzrastały patrjotyczne stowarzyszenia. Ale podobnie jak w powstaniu kościuszkowskiem to było tak tajnie robione, że są tego tylko znikome ślady. Na masonerję oddziaływał przez Ludwika Platera, namiestnika prowincji litewskiej. Towarzystwu Patrjotycznemu sprzyjał skrycie i obiecywał mu pomoc. Rozumiał je jednak jako propagandę w celu utrzymania ducha narodowego i paraliżował gorętsze porywy. Ale Mochnacki powiada, że Związek porozumiewał się z Czartoryskim w sprawie przyszłego rządu i wyboru wodza. Tymczasem w ostatnich miesiącach Konstanty zbliżał się coraz bardziej do Czartoryskiego i w październiku 1830 r. wezwał go do Warszawy. Rozmawiał o przygotowywanych rozruchach. W rozmowie poufniejszej mówił o swej opozycji przeciw zamiarom Mikołaja, o odroczeniu mobilizacji, szukał oparcia u umiarkowanych. Pod wpływem tych wynurzeń ks. Adam postanowił zwalczać bezwzględnie powstanie. Cała jego przeszłość, wszystkie przyzwyczajenia kierowały go na tę drogę, powiada prof. Tokarz. Umiarkowani nie występowali przeciw samej zasadzie powstania. Oni tylko radzili czekać sposobniejszej pory, np. wybuchu wojny. Póki chwila odpowiednia nie nadeszła „musimy się ograniczać na utrzymaniu i roz-



JOACHIM LELEWEL



MAURYCY MOCHNACKI

Fot. Photo-Plat

wijaniu tych resztek życia narodowego, jakie nam się zostały z łask Aleksandra" (W. Zamojski). Ks. Adam dał hasło powstrzymywaniu wybuchu. Zamiar powstańczy tracił przez to swój rozmach. Konstanty słuchał rad Czartoryskiego; postanowił zlikwidować sprawę aresztowanych możliwie najłagodniej. Kazał wyjechać Nowosilcowowi. Nie dopuścił dalszych aresztowań. Polacy mieli śledztwo prowadzić i Polacy sądzić. Ale związkowcy nie dowierzali miękkości kursu, albowiem sam Konstanty już był przegraną kartą w dziejach stosunków polsko-rosyjskich. Konstanty otrzymał od cara nakaz surowych represji i poddał się rozkazom bezwzględnie. To przyspieszyło wybuch.

W ciągu nocy listopadowej ppor. Wł. Zamoyski, adjutant W. Ks. Konstantego, zauważył wśród związkowców anarchję i brak władzy. „Powziął wtedy myśl, że dość będzie rozgłosić, że nastał nowy rząd, ażeby go wszyscy przyjęli". Chodziło mu o to, aby zapobiec opanowaniu władzy przez związkowych, których uważał za ludzi nieobliczalnych. Poruszył Czartoryskiego, Lubeckiego, Sobolewskiego, Niemcewicza, Paca i Kochanowskiego i doprowadził do zebrania rozszerzonej Rady Administracyjnej, która bez niego nie pomyślałaby o tem, żeby się zebrać. Rada wysłała Czartoryskiego i Lubeckiego do Wielkiego Księcia. Przekonawszy się o jego bierności, rząd postanowił owładnąć ruchem, aby go uśmierzyć. Nazajutrz powstańcy zostali zaskoczeni rozlepionemi odezwami Rady Administracyjnej: jedna potępiała „smutne wypadki", druga zawiadamiała o rozszerzeniu rządzącej Rady Administracyjnej przez kooptację sześciu członków. Powstańcy pierwszą odezwę darli, przed drugą stawali na baczność: zawierała nazwiska ludzi, o których w samym związku mówiono, jako o kierownikach narodu. W ten sposób władza dostała się w ręce zalewaczy ognia. Czartoryski został prezesem rządu. Nie miał w sobie ducha bojowego, ani zalet naczelnika powstania. Pozbawiony wiary w zwycięstwo, przekonany o niezwalczonej potędze cara, niechętny powstaniu, myślał tylko o honorowej kapitulacji.

Wł. Dzwonkowski

Książę Ksawery Drucki-Lubecki

Wychowaniec petersburskiego korpusu kadetów, odbył pod Suworowem kampanję włoską przeciw Francuzom, a niestety i legjonom Dąbrowskiego. Niezamiłowany w wojskowości, wrócił do rodzinnego majątku na Litwie, aby poświęcić się pracy przy lemieszu. W styczniu 1813 r. mianowany gubernatorem cywilnym grodzieńskim, poczem w Rządzie Tymczasowym Królestwa Polskiego zasiadał przez czas jakiś i został członkiem połączonej komisji likwidacyjnej dla ustalenia wzajemnych obrachunków między Rosją, Austrją i Prusami, wynikłych z minionej wojny. Tekę ministra Skarbu Królestwa Polskiego objął po Węglińskim. W kasach znalazł przeraźliwe pustki. Rozstrój gospodarczy i finansowy były tak zastraszające, że w reskrypcie wydanym na rozkaz cesarza rzucono pytanie, czy „Polska ma mieć swój byt odrębny". Rozstrzygnąć miał zagadnienie nowy minister. Z nim doszedł do władzy człowiek nadzwyczajnych zdolności, głębokiego umysłu, wielki znawca świata i ludzi. Figura mała, pękata, w zaniedbanym ubiorze, z wydatnym nosem orlim, osadzonym na bladej twarzy, przypominała chwilowo zasuszonego biurokratę. Lubecki posiadał zmysł niezwykle praktyczny, połączony z zdolnością djalektyczną. Legendą stawała się jego pracowitość. Chociaż był Litwinem, czuł pewien pociąg do nadmiernego wypowiadania się, jakby szukał ujścia dla uspokojenia nerwów, nadwątlonych długą pracą w gabinetowej ciszy. Z urodzenia był polakiem, a z wychowania niemal rosjaninem, jak rzecz określił Barzykowski. W przywiązaniu i zachowaniu legalności względem cara nie uważał konstytucji za akt nietykalny, tylko za dar cara, który obowiązywał naród, nie monarchę. Dlatego pierwszy dał się użyć do kontrasygnowania „Artykułu Dodatkowego", który zniósł jawność obrad sejmowych. Mimo to bronił konstytucji, gdzie się dało i udało, oświadczał się stanowczo przeciw sądom wojskowym i upierał przy sejmowych. Uważał za konieczność unję Polski z Rosją, z warunkiem, że Polska będzie posiadała oddzielne prawo i Rząd. Przed senatorem Ludwikiem Platerem zwierzał się, że Polsce trzeba uczelni, przemysłu, handlu i fabryki broni. Lubecki należał do szkoły materjalistów i w bogactwie widział szczęście narodów. Człowiek nieugięty, odważny, złamał wpływy Nowosilcowa i nie zeszedł z drogi w. księciu Konstantemu. Otrzymał przywilej wyjątkowy zwracania się z uwagami i życzeniami, nawet opozycją wprost do tronu. Za jego rządów układano ściśle budżety, nie wydatkowano ani grosza poza wyznaczone ramy, ściągano podatki, opłacano dobrze i regularnie urzędników i wojsko. Jakby pod dotknięciem różdżki czarodziejskiej znikły niedostatki, kraj znalazł się w stanie kwitnącym, z miljonowemi zapasami w skarbie. Właściwie Lubecki z Wiel. Księciem Konstantym trzymał w dłoniach skarb Królestwa i gdyby nie wybuch rewolucji listopadowej, zawładnąłby niewątpliwie naczelnym kierunkiem rządu nad Wisłą. Jego niezapomnianym czynem było założenie Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego i Banku Polskiego. Lubecki miał piękną, patrjotyczną chwilę, gdy po wybuchu rewolucji generałowie Krasiński i Kurnatowski przybyli do Rady Administracyjnej, aby wnieść dymisję. Wówczas zauważył, że rewolucja jest faktem dokonanym, dlatego wszystko uczynić należy, aby się udała. Jeździł jeszcze do Petersburga z Janem Jezierskim w celu układów. Niestety, nic nie można było już wskórać i świetny minister zeszedł z widowni dziejowej. Ocena niepospolitego człowieka była niezmiernie trudna z powodu sądów współczesnych. Ogłoszony zdrajcą równocześnie przez Mochnackiego i Nowosilcowa, a mężem opatrznościowym przez gen. Henryka Dembińskiego i rosyjskiego admirała Mordwinowa, zajął w naszej historji stanowisko między ks. Adamem Czartoryskim a margrabią Wielopolskim. Realista nawskroś, nie lubiał łezki sentymentu, tylko obliczał wszystko niemal matematycznie. Że powstanie mogło tak długo trzymać się i odnosić zwycięstwa, w znacznej to części zasługa owego ugodowca, który wypełnił pieniądzem kasy i dostarczył ruchowi narodowemu potrzebnych środków. (el).



JÓZEF CHŁOPICKI

Fot. Photo-Plat



JAN SKRZYNECKI

Joachim Lelewel

Był głębokim historykiem i ukochanym sternikiem młodzieży, będąc jednak gabinetowym uczonym, nie nadawał się na męża stanu, a tembardziej na kierownika łodzi rewolucyjnej, brakowało mu bowiem energji, intuicji i decyzji, podatny był na wpływy, chwiejny i niezdecydowany. Należał do epigonów Towarzystwa Patrjotycznego. Stąd, aczkolwiek w pracach organizacyjnych powstania nie brał udziału, spiskowcy włączali go do składu przyszłego rządu. Tymczasem ten, do którego się młodzież zwracała po sankcję swej spiskowej roboty, mówił jej o obronie konstytucji, nie rozumiejąc, że walka zbrojna z Rosją toczyć się może jedynie o zupełną wolność i niepodległość. Wiecznie chwiejny i niezdecydowany, on — inspirator powstania — pod koniec, pod wpływem Czartoryskiego, starał się odwlec wybuch i kategorycznie odmówił ściągnięcia do stolicy posłów sejmowych i zapoznania ich ze spiskowcami. Na tydzień przed nocą listopadową, a więc już po aresztowaniach licznych związkowców, kiedy nie sposób było się cofnąć, odpowiedział negatywnie na zapytanie spiskowców, czy można zacząć powstanie: „Gdyby można wiedzieć, że Austrja lub Francja ujmie się za nami, natenczas moglibyśmy przedsięwziąć, inaczej wątpię, gdyż nam samym trudno się będzie oprzeć". Jego pomysłu była zgubna teorja szukania wodza między generałami przeciwnymi powstaniu. Według zeznań Zaliwskiego właśnie Lelewel był pośrednikiem w przedwstępnych układach z Czartoryskim, polegających na tem, że ks. Adam stanie na czele prowizorycznego rządu, a wodzem naczelnym będzie Chłopicki. Tak więc zgubne dla czynu zbrojnego powołanie sabotażowego rządu odbyło się według wskazówek Lelewela. On też zalecał zaufać zupełnie sejmowi. Równało się to oddaniu steru ludziom nieszharmonizowanym, a więc zbiorowo niezdolnym do akcji. Powstanie rzucone zostało na los przypadku. Zabrakło mu głowy. Lelewel palcem nie ruszył, aby utworzyć władzę powstańczą. Zastąpił go Lubecki, aby utworzyć rząd biernego oporu, systematycznego sabotażu. Nie wahał się też tłumić wiary we własne siły u spiskowców, doradzając im nie piąć się, pozostać w swych drobnych rolach, wstrzymać się od proklamacji i pozostawić kierownictwo „starszym braciom".

Powstanie zatrzymało się w swym świętym porywie, nie tworząc wydarzeń, lecz oczekując na nie. Miast budować rewolucyjny rząd, Lelewel poddał się teroryzmowi nazwisk historycznych i żądał jedynie usunięcia najbardziej skompromitowanych jednostek z pośród Rady Administracyjnej, akceptując ją tem samem. A potem zgodził się na włączenie do tej Rady delegacji posłów sejmowych, nie rozumiejąc, że przystąpienie członków Izby poselskiej do Rady było poparciem rządu, kierowanego przez Lubeckiego w imię kompromisu, a więc kapitulacji tej idei politycznego przeciwnika. Lelewel łatwo sobie przyswoił i przystał na usypiające i deprawujące ducha powstańczego układy z Wielkim Księciem. Przyjęty do składu rządu, w pierwszej zaraz swej mowie dostosował się do panującej atmosfery i oświadczył, że „nie wyłamujemy się z pod berła Mikołaja". Zamilczał też o kresach wschodnich. Na defetystyczną mowę Czartoryskiego, że niema mowy o nierównej walce, że chodzi jedynie o zachowanie konstytucji, Lelewel nie reagował. A gdy go wybrano na prezesa Klubu Patrjotycznego, podlegał jednocześnie dwum sprzecznym wpływom: entuzjazmowi Mochnackiego i usypiającej djalektyce Lubeckiego. Chciał być mostem, przerzuconym nad przepaścią dzielącą dwa obozy, przyczem w imię urodzonego ducha przekory w Klubie bronił Rządu, a przed Rządem — Klubu. Ogółem przyczynił się walnie do niewyzyskania możliwości i do gruntownego przespania pierwszych decydujących miesięcy, kiedy tak umiejętnie tłumiono powstanie i paraliżowano wszelką ofensywę.

Maurycy Mochnacki

Najwybitniejszy wśród polityków rewolucyjnych doby listopadowej był, jeszcze jako młodziutki chłopczyna, założycielem dziecinnego dynasowskiego związku liceistów, a później członkiem jednej z lóż Wolnych Polaków. Obciążony przez zeznania Heltmana, został w 1823 r. wtrącony do ponurego karmelickiego więzienia. Umysłowo nad wiek dojrzały, spieszczony był jednak nadmiernie przez kochającą go nad życie matkę. Troskliwość macierzyńska przyczyniła się do pokruszenia odporności syna: w zeznaniach siebie wygarnął a nie oszczędził obwinionych, szczególnie Piątkiewicza i Dydaka. Wreszcie zredagował obszerną a haniebną elukubrację przeciwko wolności narodowego systematu wychowania publicznego. Oskarżała ona kilku profesorów i wydawców, a szła na rękę zamachowym dążeniom Nowosilcowa w dziedzinie oświatowej. W nagrodę wypuszczony został na wolność i mianowany pomocnikiem nikczemnego cenzora Szaniawskiego. Słowem, jak z tego wynika, charakter Mochnackiego nie stał na wysokości jego wielkiego talentu, jego porywającego zapału dla sprawy narodowej, powiada profesor Askenazy w swej świetnej monografji o Łukasińskim. Tę smutną chwilę słabości okupił Mochnacki tem, co dał w następstwie swemu narodowi: „Dał bowiem podczas rewolucji listopadowej... kilka wskazań nadzwyczaj doniosłych a bezwzględnie trafnych. Dał w swojej fragmentarycznej historji powstania... arcydzieło rozmachu, ognia, plastyki dziejopisarskiej, a niemniej też przenikliwych rzutów historyczno-politycznych, w którem jeszcze niejedno pokolenie czerpać będzie naukę i zapał". Przystąpiwszy do Związku Podchorążych najwcześniej, Mochnacki parł wyraźnie ku powstaniu, odczuwając intuicyjnie, że mamy do niego dość sił i zapału. W końcu śmiało postawił w Związku swoją tezę: nie wolno przystępować do powstania bez przygotowania sobie zgóry rządu i wodza, wybranych z pośród Związku. Temu rządowi, złożonemu



IGNACY PRĄDZYŃSKI

Fot. Photo-Plat



PIOTR WYSOCKI

nawet z ludzi nieznanych, temu wodzowi, choćby b. młodemu, da sankcję. Bez nich powstanie rzuci jedynie kraj w odmęt anarchji. Domagał się też sformułowania programu politycznego Związku. Odpowiedziano mu, że kraj nie uzna nigdy ani wodza, ani rządu z łona Związku. W końcu sprzymierzyli się przeciwko niemu Wysocki i Zaliwski. Mochnacki sprawę przegrał. Budził zawsze swojemi zdolnościami więcej podziwu, niż sympatji, ambicją swoją wzbudzał obawy, nie budził posłuchu, ani zbytniego szacunku. Rozumny, twórczy, namiętny, był jedynym człowiekiem, który widział jasno, co czynić należy. Nie słuchano go. Musiał zerwać ze sprzysiężonymi. W opozycji do rządu zorganizował klub rewolucyjny pod nazwą Towarzystwa Patrjotycznego. Został jego wice-prezesem. Był głównym mówcą klubowym. Wykazywał błędy, jakie popełniła Rada Administracyjna, domagał się rozwiązania Rady, ustanowienia Rządu Tymczasowego, uderzenia na gwardję cesarzewicza, zatrzymania Wielkiego Księcia, jako jeńca, wkroczenia na Litwę i zajęcia Wilna. Deputacja Klubu wdarła się na posiedzenie Rady i Mochnacki wyrzucał Radzie jej postępowanie. „My nie powstaliśmy dla przyjmowania łask i warunków W. Księcia, ale dla zbawienia Polski. Niechaj rząd nie gra komedji". Większość zgadzała się już wziąć pod uwagę przedłożenia Klubu. Tylko Lubecki dowodził, że niepodobna słuchać Klubu. Udał jednak, że ulega jego żądaniom. Przyjął do łona Rady czterech klubistów — Mochnackiego, Bronikowskiego, Machnickiego i Plichtę — a tymczasem Rada przestała istnieć, wyłaniając Rząd Tymczasowy, w którym dla klubistów nie było już miejsca. Lubecki napuścił do Klubu swoich ludzi. Gdy Mochnacki oskarżył dyktatora Chłopickiego o zdradę rewolucji, śmierć zajrzała mu w oczy. Ledwo uszedł z życiem. Próbował jeszcze zamachem na Lubeckiego ratować sprawę, ale, opuszczony przez przyjaciół, musiał, ratując życie, przyjąć gościnę u ks. Lubeckiego. Mochnacki zeszedł z widowni, a wraz z nim skończyła się rola dziejowa klubu.

Czołowe postacie wojskowe

Józef Chłopicki

Świetny praktyk ze szkoły napoleońskiej, popularny w wojsku i w kraju, jak nikt z jego współczesnych, Chłopicki natychmiast po rewolucji wysunięty został na naczelne stanowisko w wojsku. Zetknąwszy się na tem stanowisku z bezsilnością Rady Administracyjnej i skierowany ku myśli o dyktaturze, sięgnął po nią, by władzą swą i swym autorytetem położyć kres rozprzężeniu, wywołanemu rewolucją.

Objęcie dyktatury przez Chłopickiego spotkało się z niechęcią tylko kilku generałów, mających doń dawne urazy; wojsko natomiast i ogół narodu powitał ją entuzjastycznie, widząc w niej silną władzę, jakiej Polska potrzebowała na czas wojny, a przez to i zapowiedź tejże wojny. Tymczasem Chłopicki przyjął dyktaturę po to, by popularnością swego nazwiska osłonić politykę porozumienia z Rosją i uniknięcia wojny.

Wiara w pokojowe załatwienie z cesarzem konfliktu, stworzonego prezz rewolucję 29 listopada, wywarła decydujący wpływ na rolę Chłopickiego jako Dyktatora. Nie wierzył on w możliwość walki z Rosją, bo uważał armję polską za słabą do tej walki; nie uznawał zaś szybkich sposobów powiększenia tej armji przez utworzenie nowych pułków. Gdy pod naciskiem opinji musiał się zgodzić na formowanie nowych jednostek, oddzielił sprawy ich formacji od spraw stałego wojska i powierzywszy je dwom specjalnie w tym celu mianowanym regimentarzom, tak postawił sprawę organizacji nowych pułków, że braki jej zaważyły na ich wartości bojowej na przeciąg całej kampanji.

Mimo złudzeń w skuteczność układów Chłopicki na wszelki wypadek nadaje pewne ugrupowanie obronne wojsku polskiemu i przygotowuje pewien plan działań. Ugrupowanie to na szosach brzeskiej i kowieńskiej ulepsza w miarę rozwiewania się iluzji co do pokojowej likwidacji konfliktu, ale w plany swe nie wtajemnicza nikogo z podwładnych, ostateczną decyzję zachowując sobie. To też gdy złożył dyktaturę, następca jego na stanowisku Naczelnego Wodza, generał Radziwiłł, nie otrzymał od Chłopickiego żadnych wskazówek co do jego planów.

Radziwiłł, fatalnym zbiegiem okoliczności wydźwignięty na naczelne stanowisko w wojsku, uczuł się bezradnym w tej roli i wezwał na swego doradcę Chłopickiego, podzielając powszechne zdanie o jego wysokich zdolnościach wojskowych. Chłopicki usłuchał wprawdzie wezwania Radziwiłła, ale z niechęcią i rozżalony na siebie i na cały świat, nie chciał się do niczego mieszać. Radziwiłł, całe zaufanie pokładając w Chłopickim, ze wszystkiem odwoływał się do jego zdania, którego Chłopicki przez dłuższy czas jednak nie chciał wypowiadać.

Dopiero po wkroczeniu Rosjan, gdy zupełna nieudolność Radziwiłła zmusiła Chłopickiego do pobierania decyzji, zaczął on powoli przejmować na siebie obowiązki Naczelnego Wodza, aż wreszcie w końcowym okresie przejął je zupełnie, choć nie posiadał żadnego oficjalnie określonego stanowiska.

Bitwa grochowska kończy działalność Chłopickiego w wojnie polsko - rosyjskiej. Na podstawie jego zachowania w tej bitwie stwierdzić trzeba, że był on świetnym dowódcą na polu walki, które mógł objąć okiem, że wyczuwał tętno bitwy, że potrafił swym przykładem zagrzać żołnierza. W ogniu Grochowa był tym Chłopickim, jakim był w rzeczywistości, to jest dobrym dowódcą dywizji w korpusie, korpusu w armji, — na wodza naczelnego powstania jednak nie nadawał się.

Jako Dyktator, zmarnował czas, bo polityk zabił w nim wodza. Spada nań odpowiedzialność za niewiarę w siły Polski, za dąsy i napady niechęci dla sprawy, za zaniedbania organizacyjne, za odrzucenie naczelnej władzy wojskowej.

Na usprawiedliwienie jego trzeba dodać, że był on jedynym człowiekiem, który w pierwszych dniach po rewolucji śmiał i czuł się dość silnym, by sięgnąć po najwyższą władzę.

Jan Skrzynecki

Odznaczał się wyjątkową dzielnością osobistą, imponował żołnierzowi swą postawą i zachowaniem się i umiał prowadzić go w bój, ale brakowało mu zrozumienia dla pracy dowódcy na wyższym szczeblu. Jako piechur z pochodzenia, nie znał się na użyciu innych broni, nie rozumiał się na fortyfikacji, dziedzina strategji i prowadzenia wojny była dla niego niedostępną do tego stopnia, że nie mógł pojąć zwykłego manewru strategicznego na tyły przeciwnika. Przytem był sybarytą, lubiącym dobry stół i wystawne życie, a unikającym wysiłku do tego stopnia, że całą prawie kampanję odbył w karecie. Najwybitniejszy z konstantynowskich pułkowników, Skrzynecki najwcześniej otrzymał brygadę a następnie dywizję. Odznaczywszy się na czele dywizji w boju odwrotowym pod Dobrem i wyznaczony przez Chłopickiego na następcę swego pod Grochowem, Skrzynecki tak wyróżniony poczuł się na siłach do ubiegania się o godność naczelnego wodza.

Uzyskawszy ją w przełomowym momencie chwilowego zwątpienia po bitwie grochowskiej, zajął się zrazu podniesieniem ducha żołnierza i zwiększeniem liczebności wojska. Wkrótce jednak stał się zwolennikiem układów, dyplomatycznych zabiegów o interwencję zagranicy, a co za tem szło — zwlekania z działaniami wojskowemi. Zdając sobie sprawę ze swych braków, Skrzynecki zatrzymał przy swym boku na stanowiskach szefa sztabu i kwatermistrza obu najzdolniejszych naszych sztabowców, Chrzanowskiego i Prądzyńskiego. Ponieważ zaś zupełnie nie orjentował się w dziedzinie operacyjnej, nie mógł nawet decyzją swą wybrać jeden z pośród przedstawianych przez nich operacyjnych projektów i wolał nie przedsiębrać niczego. Najświetniejsze działania z okresu dowództwa Skrzyneckiego, jak Wawer i Dembe Wielkie, Iganie, doszły do skutku tylko dzięki uporczywym namowom i wprost błaganiom Prądzyńskiego. Mimoto nie dały rezultatów, jakich należało po ich powodzeniu spodziewać się, bo Skrzynecki nie rozumiał możliwości ich wykorzystania i wolał zadowolnić się początkowym sukcesem, niż szukać jeszcze dalszego zwycięstwa.

Pokładając duże nadzieje w zabiegach dyplomatycznych o interwencję zagraniczną, Skrzynecki wziął sobie za zasadę zwlekać i przeciągać kampanję, jaknajdłużej, byle tylko doczekać się wmieszania zagranicy. Skutkiem tego przekonania zatracił miarę w ocenie działań nieprzyjaciela i nie wykorzystując wcale błędów lub niedogodnych sytuacyj, pozostawiał mu zupełną inicjatywę.

By dać pozory czynności, bardzo skwapliwie godził się na wszelkie działania drugorzędne, bo mogły one przynieść zysk i rozgłos, natomiast w razie niepowodzenia wina za nie spadała nie na niego, a na dowódcę przeprowadzającego owo działanie. Winnych niepowodzenia bez skrupułu poświęcał, zwalając na nich winę przed opinją, byle tylko utrzymać się na swem stanowisku.

Przepuszczanie i marnowanie sposobności, nastręczanych przez przeciwnika, doprowadziło Skrzyneckiego do rozdźwięku i poróżnienia się z jego doradcami. Opuszczony przez nich, atakowany zewsząd z powodu bezczynności wojska, zdecydował się wreszcie na działanie jakieś przeciw nieprzyjacielowi, zbliżającemu się od zachodu do stolicy, ale zanim w tem naprawdę trudnem położeniu znalazł sposób działania, został złożony z dowództwa.

Ignacy Prądzyński

W początkach służby już zwrócił na siebie uwagę swych przełożonych zdolnościami i nieustanną pracą nad sobą, dzięki której stał się później jednym z najbardziej wykształconych oficerów polskich. Praktyką w sztabach oraz przez studjum historji wojen wyrobił w sobie łatwość szybkiej i trafnej oceny położenia strategicznego, a przy wrodzonych zdolnościach i jasnym umyśle umiejętność tworzenia koncepcyj działania na większą skalę, w ramach operacyjnych. Wprawdzie trzyletnie więzienie u Karmelitów wywarło nań wpływ ujemny, odebrało mu pewność siebie i zaufanie we własne siły, w kampanji jednak 1831 roku był on bezsprzecznie najzdolniejszym i najpłodniejszym planistą, orjentującym się najlepiej w położeniu.

Rewolucja listopadowa zastała Prądzyńskiego w Augustowie przy pracach nad budową kanału. Zrazu odniósł się on do niej nieufnie, ale wkrótce umysł jego, zaprzątnięty możliwością wojny, oddał się na usługi ojczyzny. Powołany przez Chłopickiego do Warszawy, naraził się wkrótce Dyktatorowi, myślącemu o układach, — swemi projektami działań i zesłany został do Zamościa na stanowisko wicekomendanta. Wrócony do sztabu przez Radziwiłła, Prądzyński, dzięki swym zdolnościom i pracy, zdobył sobie szybko bardzo znaczny wpływ, a zbliżywszy się do Chłopickiego, został jego faktycznym szefem sztabu, choć bez nominacji.

Mianowany przez Skrzyneckiego kwatermistrzem generalnym, Prądzyński, zdawałoby się, znalazł pole odpowiednie do rozwinięcia swych zdolności. Tymczasem musiał zużywać się na przełamywanie bierności Skrzyneckiego, pragnącego jedynie dotrwać do interwencji, musiał ustępować i zmieniać swe plany, prosić o ich wprowadzenie w czyn i godzić się z ich marnowaniem. Tutaj zemściła się na nim jego miękkość, jego nieumiejętność narzucania swej woli drugim, jego łatwe dostosowywanie się do nieuzasadnionej a nawet szkodliwej woli innego. W każdym razie zasługa zwycięstw pod Wawrem i Dębem Wielkiem spada na Prądzyńskiego, który decyzję do ofenzyny wiosennej formalnie wyżebrał u Skrzyneckiego.

Poróżniwszy się ostatecznie ze Skrzyneckim, usunął się od pełnienia obowiązków w czasie wyprawy na gwardje, ale nie zdołał przeprowadzić złożenia Skrzyneckiego z dowództwa. Gdy mu zaś ofiarowano naczelne dowództwo po usunięciu Skrzyneckiego, uczuł, że nie podoła sytuacji i zraziwszy się opozycją Dembińskiego i Krukowieckiego, odmówił.

Dalsza rola Prądzyńskiego nie przynosi mu zaszczytu. Wysłany na doradcę do Ramoriny, choć widział jego złą wolę a nawet jawne nieposłuszeństwo wobec rozkazów Rządu, nie zdobył się na nic więcej, jak tylko na swój powrót do Warszawy. W Warszawie Krukowiecki użył go do układów z Rosjanami, w których do reszty stargał nerwy, wchodząc w zobowiązania wobec Rosjan na podstawie ciągle zmieniających się upoważnień. Zgryziony swą rolą, pozostał w Warszawie, gdy wojsko nasze 8.IX. wychodziło na Pragę.

Choć rwał się do samodzielnego dowodzenia, tylko raz pod Iganiami miał możność stoczenia samodzielnej bitwy. Okazał się wtedy wybitnym dowódcą wyższej jednostki, wykazał dużą stałość w postanowieniu, wyczucie sytuacji taktycznej i umiejętność porwania żołnierza.

Jako pisarz wojskowy, Prądzyński nie miał sobie równych w Polsce. Pisma jego, oparte na głębokiej wiedzy fachowej i znajomości historji, cechuje żywe słowo, prostota wysłowienia i plastyka przedstawienia wypadków. Na „Pamiętnikach" jego wychowało się pokolenie naszych dzisiejszych dowódców, pisma zaś jego są dziś ulubioną lekturą naszych oficerów.

Józef Sowiński

Urodzony w roku 1777, pobierał nauki w korpusie kadetów, skąd 17 kwiet. 1794 roku wyszedł wraz z kolegami na ulice Warszawy, łącząc się z powstaniem. Brał najpierw udział w obronie Warszawy podczas jej oblężenia, następnie pod Dąbrowskim udał się do Wielkopolski, znajdując się we wszystkich potyczkach tego korpusu. Po upadku powstania Sowiński wrócił na wieś do rodziców, ale wkrótce za radą ojca wstąpił do korpusu artylerji pruskiej i złożywszy w przeciągu roku egzamin, został mianowany podporucznikiem artylerji konnej. W wojsku pruskiem odbył kampanję 1806 r., zyskując za bitwę pod Pruską Iławą order „Pour le mérite", po pokoju Tylżyckim zaś wziął dymisję i wstąpił do wojska polskiego, gdzie otrzymał szwadron artylerji konnej. W kampanji 1812 r. Sowiński w bitwie pod Możajskiem utracił nogę i pozostawiony w Moskwie podczas odwrotu, dostał się do niewoli. Uwolniony w r. 1813, powrócił do kraju i zrazu otrzymał stanowisko dyrektora arsenału budowniczego, w r. 1820 zaś z utworzeniem Szkoły Aplikacyjnej powołany został na jej komendanta.

„Powierzchowność Sowińskiego była nader poważna, włos siwy zdobił jego piękną głowę, wojskowa energja z słodyczą połączona malowała się w jego czarnych oczach i na wypogodzonem czole. Czujny w obowiązkach, łagodny w obejściu się i w samych nawet poleceniach lub napomnieniach ujmujący, zyskał miłość, ufność i szacunek nietylko młodzieży, jemu powierzonej, ale u całej Warszawy powszechne nazwisko „ojca szkoły aplikacyjnej" *).*

Na tem stanowisku zastała Sowińskiego rewolucja listopadowa. Wbrew temu, co sam ongiś zrobił, oparł się w nocy 29 listopada przeciw wyprowadzeniu wychowanków Szkoły na ulicę, niemniej jednak, tak jak obowiązek mu nakazywał, stanął po stronie powstania.

Po nominacji wychowanków Szkoły na podporuczników Sowiński zajęty został w pracach nad zaopatrzeniem w sprzęt i amunicję. Gdy zaś nieprzyjaciel stanął pod Warszawą, Sowiński, mianowany generałem, wyznaczony został na dowódcę reduty wolskiej. Obejmując ten posterunek, zapewnił generała Krukowieckiego, iż reduty nie odda, dopóki żyć będzie.

Reduta wolska, opatrzona 11 działami i obsadzona 2 bataljonami 8 p. p. lin., dnia 6 września 1831 zaatakowana została po półgodzinnem przygotowaniu artyleryjskiem przez 12 batalјonów rosyjskich, z których część wdarła się w obręb reduty, do ogrodu kościelnego. Gdy jednak Rosjanie mimo wejścia na wały nie mogli ni kroku postąpić dalej pod morderczym ogniem obrońców i gdy obrońcy ci zasileni zostali jeszcze jednym batalјonem 10 p. p. lin., pod majorem Wysockim, nadesłanym z drugiej linji, trzy nowe kolumny, w sile 12 batalјonów, wsparte ogniem 92 dział, uderzyły z południa i zachodu na redutę. Po czterogodzinnej obronie Wola padła. Za zburzonem obmurowaniem, w narożni-

*) Kołaczkowski K. Wspomnienia III. 7—8.

Tragiczne chwile: Kapitulacja Warszawy i przejście granicy



UKŁADY MIĘDZY GEN. KRUKOWSKIM I PRĄDZYŃSKIM A SZTABEM ROSYJSKIM PRZY KARCZMIE ŻELAZNEJ NA WOLI 7/IX 1831
ART. MAL. KOTZEBUE

SZARŻA PUŁKU 1 HUZARÓW PRUSKICH NA ODDZIAŁ BEZBRONNY WOJSK POLSKICH, ODMAWIAJACY POWROTU ZA GRANICĘ ROSYJSKĄ W ELBLĄGU 22/XII 1831. LITOGRAFJA HIP. BELLANGE

Fot. A. Janczewska



WIELKI KSIĄŻĘ KONSTANTY



KSIĘŻNA ŁOWICKA
(według nieznanych sztychów)

ku śródszańca zebrała się reszta obrońców, dokoła komendanta reduty Sowińskiego. Jakiś oficer moskiewski wywiesza chustkę na szpadzie, wołając, żeby się poddali. Ale Sowiński odpowiada: „Ognia do ostatniego ładunku! a po ładunkach kolbą i bagnetem, wiara!" — Tłum grenadjerów zalewa garstkę obrońców, przedzierając się do Sowińskiego, który karabinem odpiera jeszcze pchnięcia najbliższych napastników, aż wreszcie przeszyty kilkoma bagnetami, chyli się na armatę; lecz nie mogąc zgiąć drewnianej nogi, skonał, oparty o wysoką lawetę, „niezłomnym posągiem na ostatniej drzazdze Ojczyzny", a z tak groźnem jeszcze spojrzeniem, że grenadjerom, którzy go zakłuli, broń z ręki wypadła.

Piotr Wysocki

Założyciel spisku podchorążych, nie był człowiekiem, który w kampanji 1831 roku miał zabłysnąć. Nie usposabiały go do wielkiej roli wojskowej czy politycznej ani zdolności, ni wykształcenie, ni nawet rysy jego charakteru. Zdolności miernych, bo go nawet jego przełożeni uważali za ograniczonego, o słabem wykształceniu, które starał się uzupełnić wytężoną pracą nad sobą, nie nadawał się do żadnej roli politycznej i dlatego dostał się zaraz pod opiekę grupy epigonów Towarzystwa Patrjotycznego. Dzięki obawie własnego zdania i bezwzględnej lojalności stał się Wysocki dla nich narzędziem do kierowania spiskową organizacją młodzieży. Lecz przy wadach tych Wysocki posiadał zalety, jak prawość, szlachetność, bezwzględną bezinteresowność i zupełny brak osobistej ambicji, które pozwoliły mu na zjednanie sobie spiskowej młodzieży w okresie przedrewolucyjnym, nie były jednak zaletami dla polityka, ani dowódcy. Skutkiem swej bezinteresowności i braku ambicji osobistej Wysocki usuwał się zupełnie na ubocze, pozwalając na korzystanie z jego zasług ludziom o wiele mniejszej wartości, choćby takim, jak Zaliwski.

Jako wojskowy, okazał się dobrym dowódcą kompanji, szczególnie w nocy listopadowej. Zdany na własne siły i pozostawiony sam na czele Szkoły, nie stracił głowy, lecz wykonał natarcie na jazdę rosyjską, następnie przebił się aż pod Arsenał. W dalszym biegu kampanji nie wyróżnił się niczem. Został mianowany przez Radziwiłła kapitanem i adjutantem naczelnego wodza i otrzymał złoty Krzyż wojskowy z pierwszym numerem, a wysłany do grupy Dwernickiego, nie odegrał tam żadnej roli. Powróciwszy od Dwernickiego, jako dowódca bataljonu w grupie gen. A. Skarzyńskiego, dał się złudzić demonstracji Tolla, udającego przeprawę pod Serockiem i spowodował ów fałszywy meldunek, który doprowadził do ostatecznego nieudania się wyprawy na Rüdigera.

Otrzymawszy później dowództwo 10-go pułku piechoty linjowej, niebardzo dawał sobie z nim radę, skoro Bogusławski, lustrujący ten pułk, powiedział o nim „że rewolucje mu robić i gęsi wodzić, a nie pułk rekrucki do boju kartować".

Na czele jednego bataljonu z tego pułku Wysocki w chwili szturmu na Wolę wysłany został na zasilenie garnizonu reduty wolskiej. Przedarł się do szańca, gdy już Moskale usadowili się w ogrodzie i w walce z przewagą wroga ranny, ze zwichniętą nogą dostał się do niewoli po zdobyciu reduty.

W niewoli oddzielono go zaraz od reszty jeńców i oddano pod sąd. Sąd wojenny w Bobrujsku skazał go 29-go października 1830 r. na ćwiartowanie, lecz kary tej nie wykonano, gdyż Wysocki przewieziony został do Warszawy i tu stawiony przed Najwyższym Sądem Kryminalnym. Tutaj badany i nękany śledztwem bez końca, przez dłuższy czas nie znajdujący obrońcy wśród palestry warszawskiej, przeniósł wszystko z godnością, nie ugiął się ni razu, nie poddał się żadnej słabości. W obliczu pewnej śmierci nie zawiódł zaufania nikogo z tych, którzy kiedyś szli za nim i stanął przed Sądem wielki, większy od wielu od niego zdolniejszych, a szczęśliwszych.

Proces ukazał całą wielkość duszy Wysockiego, który z godnością, po męsku brał na siebie wszystkie winy.

Juljusz Kozolubski



AKADEMIK I PODCHORĄŻY 29/XI 1830.

TYDZIEŃ ŚWIATA

(wig). Wybory do senatu — jak przewidywaliśmy przed tygodniem — przyniosły rządowi sukces równy wyborom sejmowym. W ten sposób zamknięty został krąg władzy marszałka Piłsudskiego. Najprzód opanował on wojsko; potem obsadził oddanymi mu ludźmi administrację ogólną państwa, policję i resorty specjalne. Z kolei urobił sądownictwo. Następnie podporządkowane zostały samorządy terytorjalne i gospodarcze, zakłady ubezpieczeń społecznych i inne instytucje o charakterze publiczno-prawnym. Najdłużej opierał się sejm. Wreszcie i ta reduta przeciwników systemu pomajowego padła w regularnym boju wyborczym. Nie wysadzono jej w powietrze, jak żądali niektórzy. Została zdobyta szturmem. Nad parlamentem wywieszono białą chorągiew. Ale sama instytucja ocalała. Tylko załoga zmienia się gruntownie.

Wśród nowoobranych posłów jest wielu ludzi świeżych, niezużytych politycznie, choć znanych z działalności na innych polach. Mamy wrażenie, jakby ilość sił inteligentnych wzrosła. Mniej wchodzi chłopków i robociarzy. Mniej garłaczy wiecowych i wielkości parafjalnych.

Sądzimy, że zanik tego swoistego „demokratyzmu", odczuwanego głównie powonieniem, nikogo nie zasmuci. Szkoda natomiast, że z pośród zdziesiątkowanej opozycji ubyło kilku ludzi istotnie godnych zasiadania w parlamencie. Niema b. marszałka sejmu Rataja, doskonałego mówcy; niema znawcy spraw gospodarczych w obozie socjalistycznym, dr. Diamanda; niema buńczucznego, ale zasłużonego na polu samorządowem dr. Putka.

Nawet w opozycji lepiej mieć ludzi mądrych, niż miernoty. Tymczasem wszystkie grupy lewicowe poniosły straty nietylko ilościowe, co możnaby przeboleć, ale i jakościowe, co jest znacznie dotkliwsze.

Na szczęście, opozycja prawicowa przedstawia się lepiej, a najlepiej wygląda — jeśli chodzi o intelekt — większość rządowa. Obok zaszczytnie znanych osób z poprzedniego sejmu, znajdujemy tu nazwiska nowe, rokujące wielkie nadzieje.

Oczywiście wartość parlamentarną posłów poznaje się dopiero w trakcie pracy. Zdarza się nprz., że uczony gabinetowy zupełnie zawodzi w komisjach, a świetny obrońca sądowy okazuje się słabym mówcą na trybunie. Poza wiedzą i talentem oratorskim potrzebna jest bowiem parlamentarzyście praktyczna znajomość życia, szybka orjentacja w przeróżnych, coraz innych zagadnieniach, a przedewszystkiem wyobraźnia prawnicza, jak proponowane sformułowania ustawodawcze wyglądać będą w zastosowaniu. Kto nie posiada tego zmysłu przewidywania, ten może narobić wielkiej biedy w ustawodawstwie.

Inną troskę obywateli u progu nowej kadencji stanowi pytanie, czy odświeżonej ekipie sejmowej starczy wyrobienia i doświadczenia parlamentarnego. Opozycja prawa i lewa posiada kilku wiarusów pod tym względem. Tem dotkliwszy byłby ich brak wśród większości rządzącej. Zwłaszcza, że prowadzenie 250-cioosobowego klubu nie należy do rzeczy łatwych. Trzeba znaleźć właściwą miarę karności klubowej i niezawisłości poselskiej. Jeśliby wśród kierowniczej większości zanikła wymiana zdań, wolna dyskusja i decyzja, a wszystko sprowadzało się do wykonywania mechanicznie rozkazów, łacno przedstawiciele ludu utraciliby kontakt ze społeczeństwem. Wyborcy trzeba wyjaśnić, dlaczego jego mandatarjusz głosuje tak, nie inaczej. Gdyby swoje racje wykładała tylko opozycja, a większość przegłosowywała ją milcząco, mogłoby w umysłach obywateli powstać zbyt wiele wątpliwości, albo i całkowity zamęt.

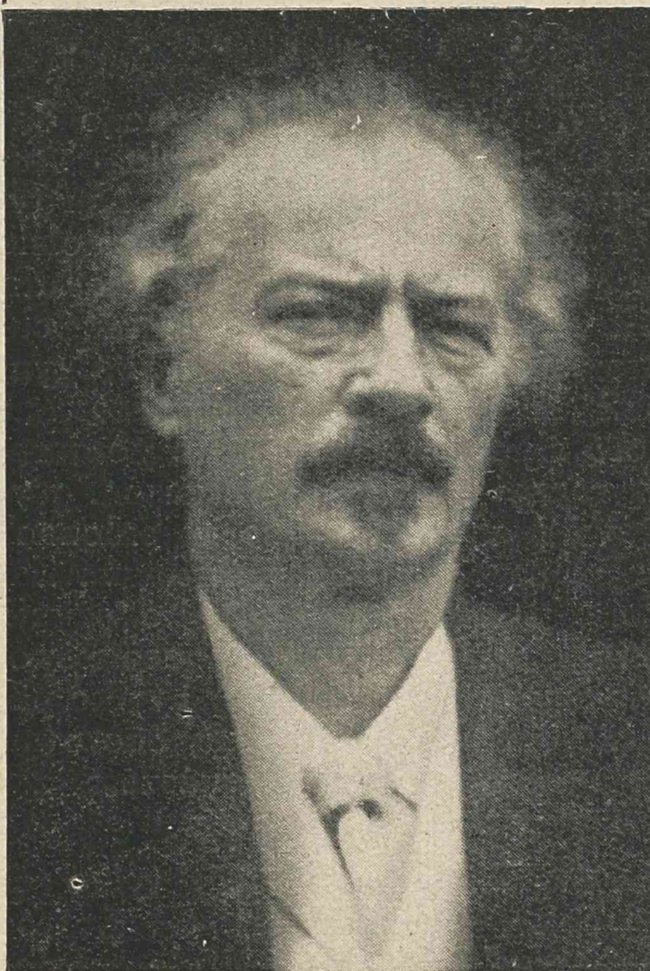
Parlament nie jest szkołą ani kazerną. Wymaga on parlamentarnych metod pracy: jawności, dyskusji i samodzielnej decyzji. Tylko wtedy stanie się on instytucją zrozumiałą, bliską i potrzebną dla narodu, a większość kierująca zyska sobie trwałe i solidne w nim oparcie.

. . . .

(ob). Podczas wyborów do Sejmu zaszedł w Warszawie wypadek, o którym pisano naogół niewiele. Przybyli oto do Polski czterej obywatele francuscy, członkowie parlamentu, dla obserwowania „czystości wyborów". Byli to panowie: Leon Jouhaux, Jan Locquin, Raul Brandon i Maurycy Palmade. Nie wchodzimy w to, jakich ci panowie są przekonań i kto ich zaprosił. Nie wzrusza nas również ich pożegnalny list publiczny, ogłoszony w gazetach, w którym zapewniają, iż pragnęli jedynie dać „świadectwo, że demokracja polska nie jest odosobniona, że dokoła niej roztacza się sympatja braterska i czujna narodu, który pamięta".

Pragniemy natomiast postawić im pytanie: czy zdają sobie sprawę, coby się stało z obywatelami polskimi, członkami Sejmu polskiego, którzyby zjawili się podczas wyborów w Paryżu w takim samym celu? Przedewszystkiem cała prasa francuska podniosłaby alarm niesłychany z powodu takiej „bezczelności cudzoziemców" i nicby nie pomogły żadne zapewnienia o „braterskiej i czujnej sympatji". Następnie sejmowi obserwatorzy polscy byliby niezwłocznie zaaresztowani i odstawieni w przeciągu dwudziestu czterech godzin do gra-

SIEDEMDZIESIĘCIOLECIE PADEREWSKIEGO



Ignacy Paderewski, znakomity muzyk, wielki patryjota i zasłużony mąż stanu, ukończył obecnie 70 lat. Mimo późnego wieku, Paderewski zachował pełnię sił i energji, i teraz właśnie odbywa kilkumiesięczną wędrówkę artystyczną po Stanach Zjednoczonych, noce spędzając przeważnie w wagonie sypialnym. Powodzenie towarzyszy mu stale. Prezydent Hoover zaprosił naszego znakomitego rodaka do Waszyngtonu; Paderewski zamieszka tam w Białym Domu. Siedemdziesiątą rocznicę urodzin obchodził Paderewski w kółku paru najbliższych przyjaciół

nicy. Nie ocaliłaby ich żadna interwencja ambasadora polskiego.

W Polsce obowiązuje wciąż zasada, którą Fredro tak pięknie wypowiedział ustami Cześnika w „Zemście":

— Nie wódź mię na pokuszenie, ojców moich wielki Boże, gdy przestąpił moje progi, włos mu z głowy spaść nie może.

. . . .

(s). W ostatnim swym feljetonie „Na widowni" w „Myśli Narodowej" Zygmunt Wasilewski omawia dyskusję, jaka wywiązała się w prasie z powodu niespodziewanego powołania do życia Instytutu Literackiego. — Jest rzeczą charakterystyczną, pisze Wasilewski, że już dzisiaj nie możemy się połapać ze swojem piśmiennictwem. Kontakt literatury z narodem chwieje się, pewne żywioły usiłują przerzucić pieczę nad nią na państwo. Niepowołani pośrednicy zabiegają, żeby kosztem skarbu powstała akademja literacka, która wzięłaby na utrzymanie wpływową dzisiaj klikę. Ogół oświecony ma wrażenie, że literatura upada. O to bowiem toczą się wciąż spory.

Więc prof. Szober w „Kurjerze Warsz." twierdzi, że, „literatura jest u nas w upadku, że, jako pokrzepienie teraźniejszości, pozostało kilku epigonów niedawnej świetności, a przyszłość w czarnych barwi się kolorach". Przeciw temu pesymizmowi wystąpił Jul. Kaden - Bandrowski w „Gazecie Polskiej" a w „Pamiętniku Warszawskim" p. Morstin potakuje przy — — — pochlebnie, że dzisiejszą naszą literaturę cechuje „bujny rozkwit i najlepsze na przyszłość nadzieje". I na dowód słuszności swej tezy p. Morstin wymienia dość kompletną listę „skamandrytów", uosabiających w jego mniemaniu równocześnie i bujny rozkwit i najlepsze na przyszłość nadzieje. Podpiera listę paroma głośniejszemi nazwiskami zbliżonych do Skamandra pisarzy. Wasilewski dość surowo obchodzi się z redaktorem miesięcznika literackiego, subwencjonowanego przez Fundusz Państwowy, zarzucając mu „bezmyślność, jeśli nie chęć błąkania opinji". W „Czasie" krakowskim zabrał głos p. Jerzy Dobrzycki, który dochodzi do wniosku, że w Polsce odrodzonej twórczość na polu literatury i plastyki cierpi na chroniczną inflację. Produkcja jest ilościowo bardzo bogata, pod względem jakości niezmiernie uboga. Jest sporo młodych talentów, brak wielkich twórców.

— Co pozostanie z współczesnej twórczości dla przyszłości? — pyta p. Dobrzycki. Odpowiada: — Nic, albo prawie nic. I dodaje:

— Nieuświadomionemu społeczeństwu brak w sprawach sztuki orjentacji i krytyki. Niewyrobieni, nie... sumienni lub oportunistyczni krytycy każą społeczeństwu szukać i czcić wielkie kapłaństwa sztuki tam, gdzie w istocie jest tylko szara przeciętność.

Reasumując tę wysoce interesującą dyskusję, Zygmunt Wasilewski tak konkluduje:

— Oczywiście, talenty są; a jednak upadek. O cóż więc chodzi? W Polsce nie sztuka mieć talent, ale sztuką jest w Polsce mieć charakter. W tym wypadku chodzi o to, żeby literatura wpadała w *charakter budowy polskiej cywilizacji.* Wszystkie zakusy narzucenia Polsce literatury w stylu niemieckim, rosyjskim, a zwłaszcza żydowskim zawsze będą notowane przez polską opinję jako upadek.

Literatura nasza musi być polską nietylko z języka. Musi nią być z ducha.

. . . .

(k). Wernissaż dorocznego Salonu Jesiennego w Zachęcie. Tłumy publiczności. J. E. Kardynał Kakowski, nuncjusz apostolski mons. Marmaggi, wice-minister dr. Alfred Wysocki, spora garść cudzoziemskich dyplomatów. „Czynniki miarodajne" reprezentowane dość słabo. Czynnniki te popierają raczej frondę artystyczną, wystawiającą swe prace w salonach prywatnych, z konserwatywną Zachętą pozostają w jawnej opozycji. Górą „Mała" choć znacznie powiększona „Ziemiańska" i tylko patrzeć, jak p. Albrecht uhonorowany zostanie jakiemś wyższem, zaszczytnem odznaczeniem.

Górą ziemianie! Ale tylko ci, z Małej Ziemiańskiej. Z pośród nich wyskoczy las nietyle młody, co zachłanny.

W Salonie Jesiennym bierze udział liczny zastęp malarzy starszego pokolenia, z zawsze młodym Wojciechem Kossakiem na czele. Sporo dzieł wartościowych. Żadnych niespodzianek. Wszystko to już przeważnie widzieliśmy rok temu, dwa, trzy lata temu... Może inne obrazy, lecz sztuka ta sama. Coraz mniej większych płócien. Rozmach kurczy się cokolwiek, kompozycja jałowieje. Niemało dzieł bez wartości, które świadczą pochlebnie o wyrozumiałości jurorów. Lecz gdyby ta wyrozumiałość była bardzej ograniczona, poziom Salonu byłby wyższy...

Fałszywem byłoby, na podstawie Salonu Jesiennego, wytwarzać sobie pojęcie o nowej, tworzącej się Sztuce Polskiej.

. . . .

W świecie dziennikarskim Warszawy sensację wywołało oświadczenie redakcji „Kurjera Porannego", umieszczone we wtorkowym numerze tego dziennika. „Kurjer Poranny", który w ciągu ostatnich lat szedł w awangardzie prasy prorządowej, w tem oświadczeniu oznajmia wszem i wobec, iż przywraca sobie niezależność zdania i krytyki wobec wszelkich poczynań i zarządzeń rządowych.

Zatem, przejście do opozycji? Niezupełnie. Obaczymy, jaki będzie ton owej niezależności krytyki. Bo *„c'est le ton qui fait la chanson".* W każdym razie, w 48 godzin po tak walnem zwycięstwie rządu, jakiem okazały się wybory do Senatu, ta uroczysta deklaracja „Kurjera Porannego" była niespodzianką.

. . . .

(JMŻ) W kawiarni Europejskiej wielkie poruszenie.

Czyżby jakieś ściślejsze wiadomości o rzekomych zmianach w rządzie? — albo decyzja, kto będzie marszałkiem sejmu, kto—senatu...

Plan gospodarczy?

A może nowa pożyczka?

Nie. Poruszenie spowodowała... cenzurka.

— Niech pan sobie wyobrazi, siedzę jak zwykle w południe przy pół czarnej, gdy zatrzymują się koło mnie jacyś dwaj panowie. Jeden mówi:

— Nie rozumiem, dlaczego jesteście bez humoru. Przecież wszystko poszło lepiej, niż się spodziewano. Zresztą i prezes...

Na to drugi pan: — Martwi nas cenzurka.

— Jaka cenzurka?

Rozmówca uśmiechnął się dyskretnie.

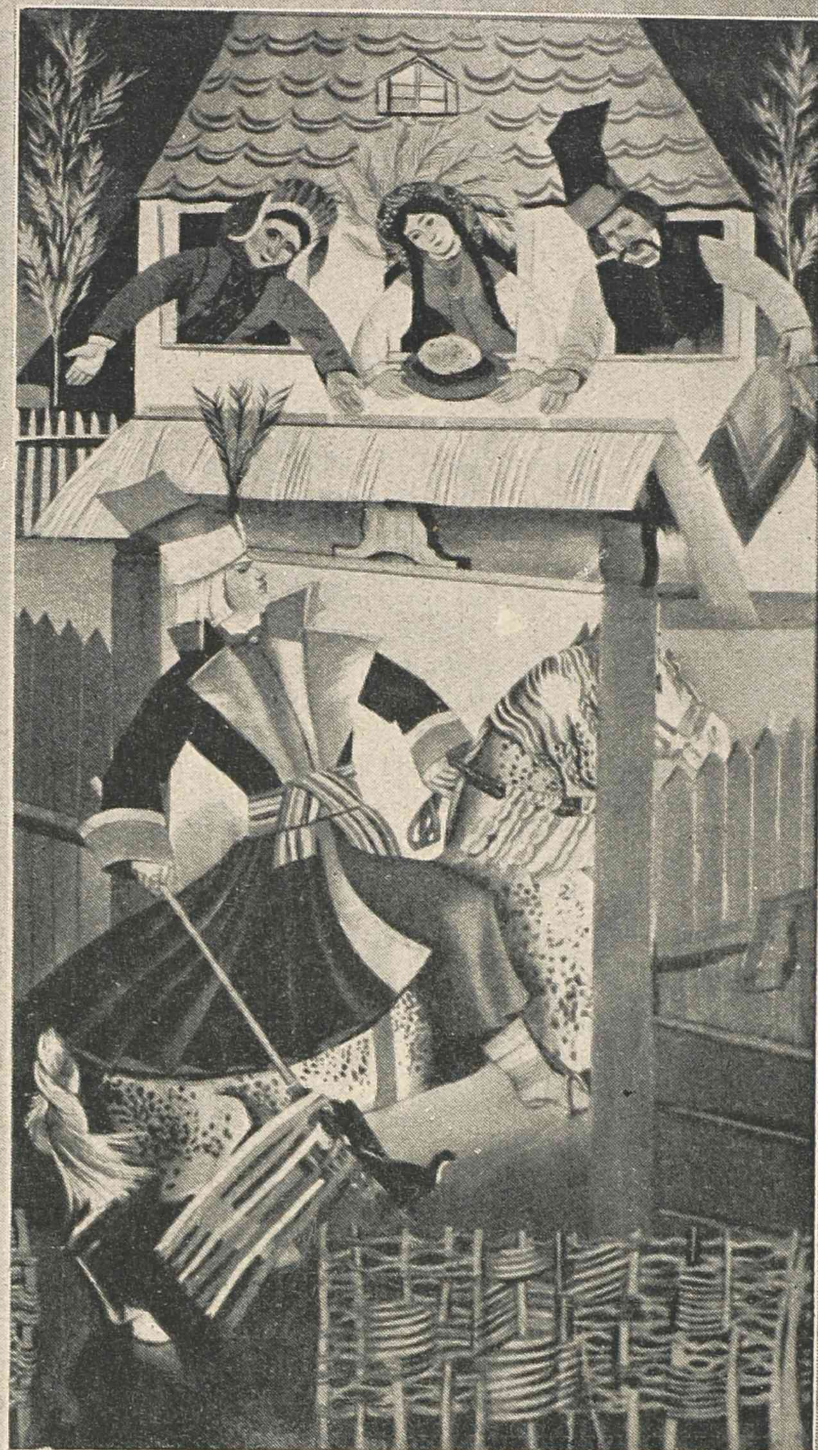
— Dostaliśmy odręczną cenzurkę: za przeprowadzenie wyborów — czwórka z minusem.

Czwórka z minusem! Gra słów dobra, lecz niezupełnie ścisła: bo czwórka właśnie wyszła z plusem.

PRACE ZOFJI STRYJEŃSKIEJ

1. ILUSTRACJA DO SIELANEK SZYMONOWICZA. 2. WIANKI. 3. ZIMA.







Wystawa obrazów Zofji Stryjeńskiej w salonach Phillipsa wzbudziła szerokie zainteresowanie wśród miłośników sztuk plastycznych w Warszawie. Jej „Kolendy i pastorałki", „ilustracje góralskie", konterfekty pierwszych królów polskich, „tańce" zdobyły sobie już ongiś poklask specjalną stylizacją, wzorowaną na tendencjach artystycznych Wyspiańskiego. Wielki pieśniarz Wawelu w motywach ludowych, chłopskich szukał Polski starej, królewskiej. Stryjeńska w folklorze plastycznym, w etnografji artystycznej odnalazła wiele swoich form: przetworzyła je tylko przez pryzmat dużego temperamentu malarskiego.

Obecna wystawa w głównych zarysach powtarza wszystkie te znane z jej twórczości sposoby malarskiej interpretacji rzeczywistości. Jej fantazje w treści i kompozycji czerpią też osnowę ze sztuki ludowej, zalecają się śmiałością linji i żywością kolorystyki.

W dorobku swoim artystycznym Z. Stryjeńska posiada wyróżniane kompozycje: „Ogień", „Woda", „Poranek", „Wieczór", „Ilustracje do trenów Kochanowskiego", rysunki do „Monachomachji Krasickiego".

Wystawa obecna, licznie odwiedzana, szeroko komentowana, świadczy o ustaleniu się rodzaju malarstwa Zofji Stryjeńskiej. Dekoracyjność jest jednem z głównych jej usiłowań artystycznych. Największe sukcesy osiąga, gdy specjalnie przestrzega wymagań tej formy.

UROCZYSTE OTWARCIE BIBLJOTEKI NARODOWEJ W WARSZAWIE

(Rozmowa z Naczelnikiem Wydziału Bibljotek Ministerjum W. R. i O. P. p. Stefanem Demby)

Dnia 28 listopada r. b., w dzień inauguracji Polskiego Zjazdu Historyków, w obecności P. Prezydenta Rzplitej, Prof. Ignacego Mościckiego, Ministra W. R. i O. P. p. Czerwińskiego i licznych przedstawicieli nauki i literatury polskiej odbyło się uroczyste otwarcie Bibljoteki Narodowej w Warszawie — narazie w locum prowizorycznem.

Marzenie garstki ludzi, by w stolicy stanął gmach Bibljoteki Narodowej, taki, na jaki winno stać naród 30-to miljonowy, dotychczas nie zostało zrealizowane. Gmachu, niestety, jeszcze niema. Dzięki jednak wysiłkom bibljografa i miłośnika książek, Naczelnika Wydziału Bibljotek Min. W. R. i O. P. p. Stefana Demby, rozrzucone dotychczas w dwunastu rozmaitych miejscach zbiory bezcennych druków, rękopisów, sztychów, map i t. p. zebrane zostały w jednem miejscu — Rektorat Wyższej Szkoły Handlowej (ul. Rakowiecka) wydzierżawił Min. Oświaty część swojego gmachu bibljotecznego, zbudowanego według najnowszych wymagań nauki i architektury.

By uzyskać informacje o zbiorach Bibljoteki i o jej dziejach dotychczasowych, zwróciłem się do p. Stefana Demby, którego wysiłki ku stworzeniu Bibljoteki Narodowej i pracę, przeprowadzaną z iście benedyktyńską cierpliwością, pomimo licznych bardzo i trudnych do zwalczenia przeszkód, obserwuję od lat kilkunastu.

Zacząłem od złożenia serdecznych powinszowań z powodu realizacji nowego etapu.

— Tak, ma pan rację, to nowy etap dopiero, ale musi pan przyznać, że poważny. Jeszcze parę lat temu o takiem pomieszczeniu dla zbiorów Bibljoteki Narodowej trudno było marzyć. A dziś proszę: mamy wygodne, specjalnie zbudowane składy na przeszło ½ miljona książek; świetną czytelnię rękopisów, imponującą czytelnię ogólną. Skończyła się tułaczka po cudzych kątach, po skrzyniach, pakach, strychach i suterynach.

— Jakto, panie Naczelniku, suterynach? — przerywam.

— Myśl powołania do życia wielkiej książnicy narodowej, na wzór takich instytucyj, które posiadają wszystkie kulturalne narody mniej liczne, uboższe, nie mogące się poszczycić ani taką literaturą, ani taką nauką, jak my, Polacy, kiełkowała w głowie i sercu niejednego z nas, ludzi książki, już oddawna.

Zasadnicze zmiany polityczne pozwoliły sięgnąć ku realizacji projektu na wielką skalę. I oto jeszcze w r. 1918 wystąpiłem z projektem stworzenia Bibljoteki Narodowej w Warszawie, składając memorjał Wydziałowi Bibljotek przy Ministerjum W. R. i O. P. Niemal jednocześnie, zupełnie niezależnie od mojego wystąpienia, w tej samej sprawie zabrał głos w memorjale do Warsz. Tow. Naukowego i Min. Oświaty dr. Ludwik Bernacki, Dyrektor Zakładu Narodowego im. Ossolińskich we Lwowie. Odezwały się i inne głosy, memorjały (Zw. Bibljotekarzy Polskich) i artykuły w prasie.

Skoro tylko ukazały się w prasie wiadomości o projekcie Bibljoteki Narodowej, do Wydziału Bibljotek natychmiast posypały się nietylko propozycje darów, lecz i dary zaczęły napływać z kraju i zagranicy, i to dary niebylejakie. Dużo też było propozycyj nabycia rozmaitych niezmiernie cennych i ciekawych bibljotek i zbiorów.

W krótkim stosunkowo czasie Wydział Bibljotek począł przyjmować darowizny. Znalazły się też w budżecie pewne sumy, które umożliwiały nabywanie objektów co ciekawszych.

Przybywały jeden za drugim transporty zbiorów, rewindykowanych z Rosji (z bibl. Załuskich, biblj. Akademji Medyko-Chirurgicznej i bilblj. Akad. Duchownej w Warszawie).

Księgozbiór rósł niemal z dnia na dzień, a pomieszczenia nie było. Musieliśmy tedy lokować na razie, gdzie się dało. Nasze zbiory do dni ostatnich były rozrzucone aż w 12 — tak dwunastu — miejscach (m. in. i w suterynach) i tylko częściowo mogły być udostępnione dla badaczy.



STEFAN DEMBY

Przyjmując darowizny, specjalnie zaś czyniąc nabytki, byłem bardzo ostrożny i wybredny. Nabywałem dla Bibljoteki Narodowej tylko takie zbiory lub objekty, które posiadają wartość piewszorzędną. Główną moją myślą przewodnią było niedopuszczenie do rozproszenia pewnych całości, a tem samem zatracenia olbrzymiej części ich wartości. Szczególnie odnosi się to do rękopisów.

— Czy wolno wiedzieć, jakie „cymalja" posiada Bibljoteka Narodowa"?

— Zadużoby to panu miejsca zabrało! Ale proszę. Najpierw — o darowiznach. Tu przy okazji jeszcze raz chciałbym złożyć podziękę ofiarodawcom.

Oto p. Arianna Ory, siostrzenica i spadkobierczyni Adolfa Roussela, ofiarowała najkompletniejszy przeszło 8000 numerów liczący zbiór dzieł i rękopisów Hoene-Wrońskiego i wronscianów w kilku językach. Gdy zapytaliśmy się listownie, na ile ocenia tę bibljotekę, odpowiedziała w sposób wręcz wzruszający (jest to osoba niezamożna notabene). Oto jedno zdanie tej odpowiedzi: „byłoby zbrodnią, aby Francja kazała sobie płacić siostrze — Polsce".

Dalej otrzymaliśmy w darze od spadkobierców ś. p. S. Smolikowskiego ze smakiem i znawstwem gromadzony księgozbiór (30.000 t.); od p. St. Karłowskiego z Szelejowa — bibljotekę Horyniecką ks. Ponińskich (m. in. zbiory po ks. Polkowskim i Żegocie Paulim). Proszę dodać, że do realizacji tej darowizny przyczynił się p. Franciszek Siedlecki, znany artysta-grafik. Wnuczka J. I. Kraszewskiego, p. Strzemboszowa ofiarowała bibljotekę (głównie rzeczy emigracyjne) po swym mężu Władysławie z Damajowic Strzemboszu. Otrzymaliśmy najbogatszą bodaj w Polsce bibljotekę chemiczną po ś. p. prof. Janie Zawidzkim, część zbiorów po T. T. Jeżu - Miłkowskim. Mec. Kraushar ofiarował spisany przez Piotra Wysockiego pamiętnik i t. d. i t. d.

Wśród nabytków mamy bibljotekę po Kazimierzu Chłędowskim, rękopisy, sztychy, mapy po J. I. Kraszewskim, niezmiernie ciekawą korespondencję Fr. Żmurki (o malarstwie), bar. Lüdowej (o teatrze), zbiory rękopiśmienne po Józefie Blinińskim, pisarzu Józefie Korzeniowskim, prof. Kallenbachu.

Są tam listy, utwory, memorjały, rozprawy. Są i rękopisy Adama Mickiewicza (m. in. 11 listów do Konstancji Łubieńskiej), Cyprjana Norwida (rysunki), Zygmunta Krasińskiego...

Udało mi się nabyć dla Bibljoteki Narodowej przepyszny rękopis Emira Rzewuskiego „o kulturze i koniu arabskim", ozdobiony 240 akwarelami i rysunkami, mapę, własnoręcznie w więzieniu przez ks. Hugona Kołłątaja rysowaną.

Z Petersburga wróciły „Kazania Świętokrzyskie".

Częścią składową Bibljoteki Narodowej są też przed trzema laty sprowadzone do kraju bibljoteka i archiwum z Rapperswilu, na razie znajduje się, jako depozyt, w Cent. Bibl. Wojskowej.

Do nas przyjdą dublety wszystkich bibljotek uniwersyteckich.

Dysponujemy wreszcie — jeżeli idzie o wydawnictwa współczesne—t. zw. egzemplarzem obowiązkowym.

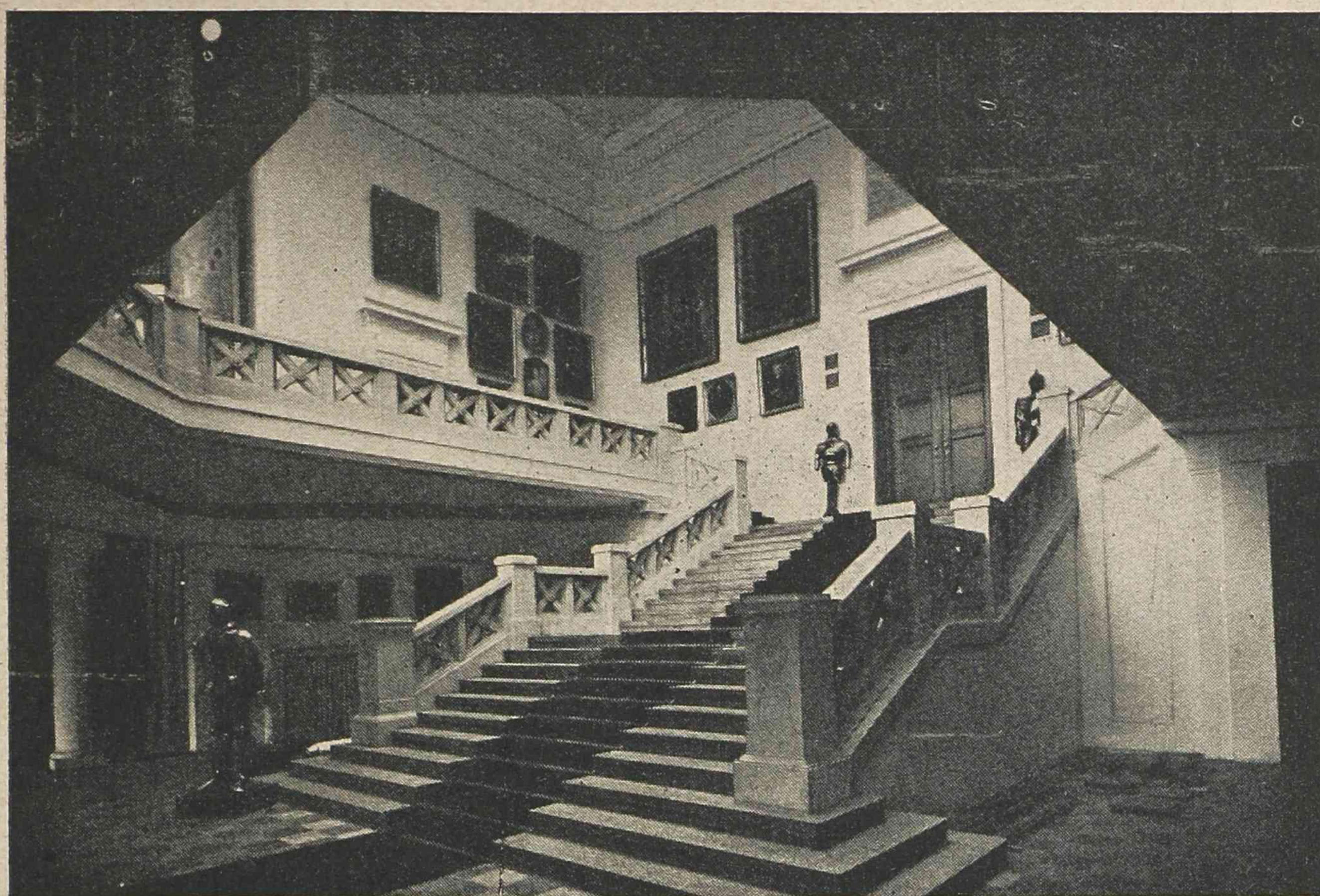
Słowem, mamy się czem pochwalić. Niewątpliwie, gdybyśmy byli mieli dawniej locum odpowiednie, bylibyśmy mniej skrępowani. Trzeba było niejedną kuszącą propozycję odrzucić — z braku miejsca.

Dzięki uprzejmości władz Wyższej Szkoły Handlowej tułaczka naszych zbiorów skończyła się. Mamy zapewniony na pewien czas przytułek.

Od dni paru wszystkie nasze zbiory całkowicie dostępne są dla publiczności. Jestem rad niezmiernie, że udało mi się częściowo zrealizować to, o czem marzyłem i nad czem pracowałem od dawna. Ale to drobna część dopiero, bo to, cośmy pod wysokiemi auspicjami P. Prezydenta Rzplitej i P. Ministra Oświaty inaugurowali 28 listopada — to prowizorjum.

Kraj musi się zdobyć na zbudowanie gmachu odpowiednio wspaniałego, który byłby godzien nosić miano Polskiej Bibljoteki Narodowej. Rząd czyni swoje. Lecz i społeczeństwo powinno swój obowiązek spełnić. Dotychczas parokrotne wezwania moje i innych pozostały niestety bez echa. Nie wątpię, że Bibljoteka Narodowa znajdzie swojego mecenasa. Najchętniejbym go widział w postaci drobnych nawet lecz zato licznych ogólno-narodowych składek, bo byłby to akt świadczący o tem, że potrzeby kultury narodowej społeczeństwo nasze odczuwa.

Ludomił Lewenstam



GŁÓWNE WEJŚCIE Fot. Jan Ryś

W PRZEDDZIEŃ OTWARCIA

Bibljoteka i Muzeum ord. hr. Krasińskich

Dnia 2 grudnia r. b. nastąpi otwarcie muzeum i czytelni bibljoteki ord. hr. Krasińskich w nowym gmachu. Któż nie zna tej instytucji? Od lat służy ona nauce polskiej, umożliwiając studja nad przeszłością. Posiada znakomity zbiór rękopisów, ksiąg, encyklopedji, sztychów, rycin: jest nieocenionem źródłem dla badaczy, literatów, pedagogów, dziennikarzy. Jak wiadomo, powstała z księgozbiorów rodziny hr. Krasińskich oraz ze spuścizny po śp. Konstantym Świdzińskim. Początkowo bibljoteka ta mieściła się w kamienicy przy ulicy Traugutta. Edward hr. Krasiński, obecny ordynat, wzniósł dla zbiorów tych specjalny gmach przy ulicy Ordynackiej; budynek ten przynosi zaszczyt fundatorowi, jak i wykonawcom jego inicjatywy. Paryż, Bruksella nie posiadają takich gmachów; korzystają z budynków, wznoszonych dla innych celów. Gmach „Bibljoteki ordynacji Krasińskich" jest budowlą o wyraźnej, użytkowej tendencji. Nosi na sobie piętno umiłowań artystycznych fundatora, wyróżnia się szlachetnością architektonicznej koncepcji. Projektował go arch. Juljusz Nagórski, wykończył plany inż. Henryk Gay. Gmach wzniesiono już w 1913 r. Wskutek ciężkich lat wojny i płynności stosunków gospodarczych okresu powojennego powoli realizowano urządzenia wewnętrzne, wykończano projekty. Bibljoteka była wszakże czynna. Udostępniono ją natychmiast prawie po przeniesieniu zbiorów z gmachu dawnej rezydencji Czapskich. Stworzono prowizoryczną czytelnię. Dopiero teraz jednak ord. E. hr. Krasiński odda do dyspozycji wspaniałą salę czytelnianą, urządzoną z komfortem. Mahonie oraz umiejętnie dobrane księgi pomocnicze, nieodzowne przy poważnej lekturze, stwarzają z tej sali idealną pracownię naukową. Nad stroną intellektualną czuwa obecny dyrektor tej instytucji, dr. Jan Muszkowski, znany krytyk literacki, bibliofil. Kierownictwo muzeum spoczywa w rękach p. dr. Marji Kociatkiewiczówny. Miłośnicy starej zbroi, malarstwa, znajdą w tem muzeum rzeczy nietylko o wielkiej wartości historycznej, lecz i artystycznej.



EDWARD HR. KRASIŃSKI, FUNDATOR GMACHU



DR. JAN MUSZKOWSKI, DYREKTOR BIBLJOTEKI I MUZEUM

Jak potrzebną i pożyteczną jest Bibljoteka ord. Krasińskich, najlepiej świadczy frekwencja: w r. 1920 zanotowano 1.603 wizyty, a w r. 1927 — 5.888. Zwiększają się wskutek tego i godziny, w które Bibljoteka jest dostępna dla publiczności. W r. 1928 było godzin 1.382, w r. 1929 — 1.353, a w r. bieżącym w pierwszem półroczu 942.

Dodać należy, iż budżet tej instytucji pokrywany bywa prawie całkowicie przez obecnego ordynata, Ed. hr. Krasińskiego. Na 53.341 zł. wydatków za r. 1929 pokrył on z własnej szkatuły 48.563 zł. Dotacja ta nie jest oderwaną pozycją w budżecie Bibljoteki. Ciężar materjalny jej istnienia wziął na siebie ordynat opinogórski. Moralny sukces zawdzięcza też temu ofiarnemu karmazynowi, spadkobiercy wielkich tradycji rodowych, krewniakowi genjalnego Zygmunta, twórcy „Nieboskiej", „Irydjona", „Psalmów".

Hr. Edward Krasiński w szerokich kołach naszego społeczeństwa znany jest, jako zamiłowany bibljofił i zbieracz dzieł sztuki. Bogate zbiory swoje, trud wielu lat, wcielił do Bibljoteki i Muzeum. Jest on nieocenionym przewodnikiem po skarbach tej instytucji. Z tkliwością i sentymentem bierze do rąk rzadki rękopis, piękny sztych czy też kunsztowną włoską misericodję. Nic w tem dziwnego. Posiada w równej mierze tradycję rycerską, jak i bibljofilską. Archidjakon Krakowski Stanisław Krasiński († 1598) gromadził już te skarby drukowane, które teraz dzięki hojności hr. Edwarda są dostępne dla naszych badaczy i miłośników przeszłości.

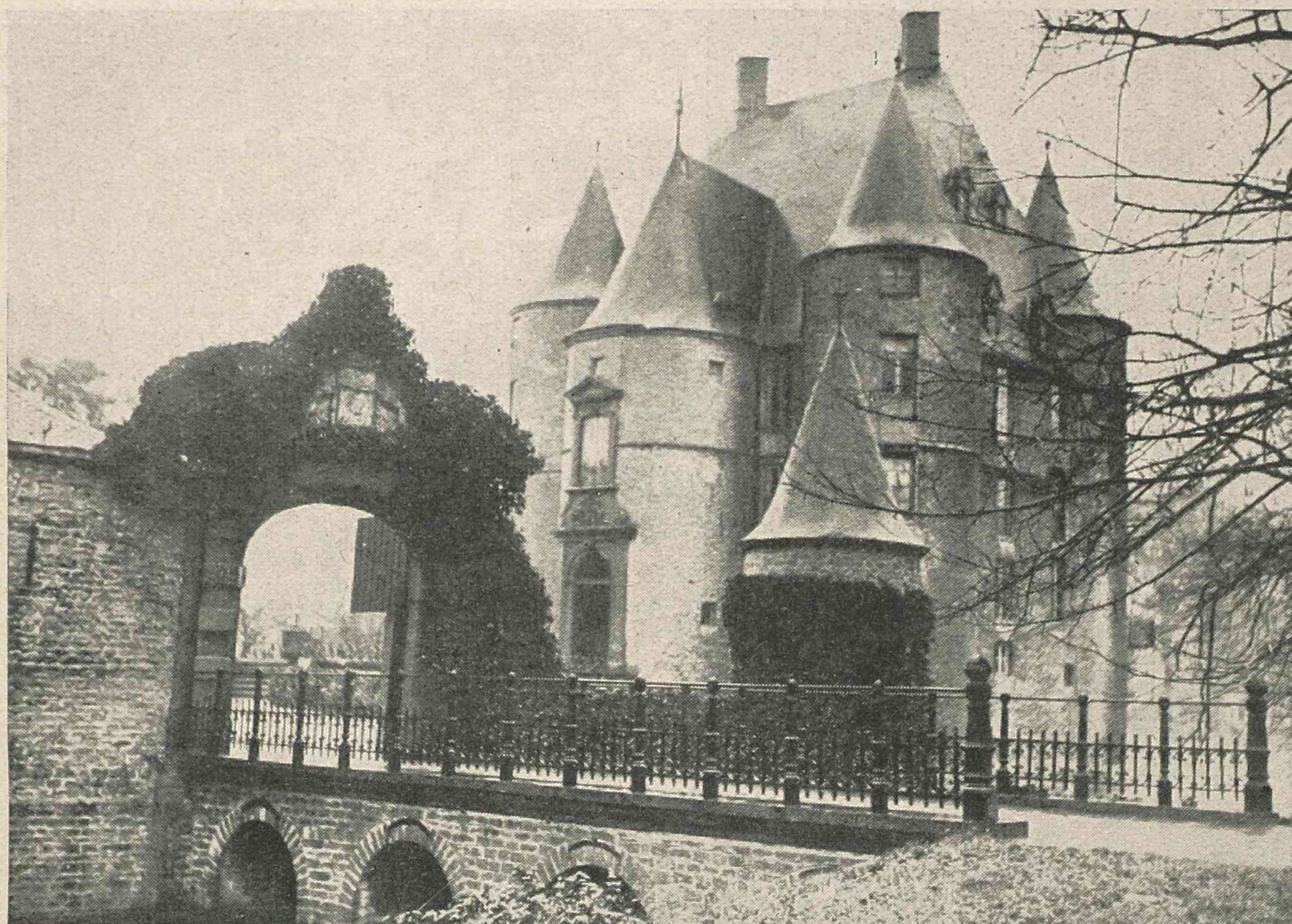
Piękny gest, godny dewizy rodowej „Amor patriae, nostra lex", napewno wywoła w szerokich kołach społecznych wdzięczne echo. Ku wiecznej rzeczy pamiątce zapisano na tablicy fundatorskiej: „Edward Krasiński, syn ordynata Józefa i Heleny ze Stadnickich, postawił własnym sumptem gmach dla Bibljoteki i zbiorów Ordynacji Krasińskich, pragnąc w tych murach zabezpieczyć skarby przeszłości, skrzętną ręką minionych pokoleń gromadzone i ocalone od zagłady, udostępnić je współczesnym, a przekazać potomnym ku chwale i pożytkom nauki polskiej, kraju i rodzimej Warszawy".

Uroczystość Otwarcia Muzeum i czytelni Bibljoteki ord. Krasińskich w nowym gmachu będzie świętem nietylko dla fundatora, lecz i dla wszystkich tych polskich obywateli, którzy z kulturą naszego narodu związali jego dobrobyt i szczęście.

Dr. Z. M.



SALA PIERWSZEGO PIĘTRA Z WIDOKIEM NA GALERJE



Zamek Steenockerzeel koło Brukselli, w którym arcyksiążę Otto Habsburg obchodził uroczystość dojścia do pełnoletności



Ostatnia fotografja arcyksięcia Otto Habsburga w stroju narodowym

NA WIDNOKRĘGU

Tylko nadużywany w polskiej publicystyce wyraz „niesamowity" pasuje do odbywającej się obecnie w Genewie konferencji, opracowującej program przyszłej konferencji rozbrojeniowej.

Istotnie, widok jest niesamowity. Delegaci, nawet ci najbardziej pragnący rozbrojenia, mają w Genewie dziwną taktykę powracania w dyskusji do spraw już poprzednio zasadniczo zdecydowanych. Bywały sprawy, paragrafy, punkty technicznie ustalone, które przypominały prace zacnej Penelopy — co zdziałał czwartek, to odrobił piątek! Co uchwalono, to poddano rewizji, przedyskutowano, oddyskutowano, odgłosowano lub poprawiono tak, że zmieniono sens. Nie będziemy wchodzili w szczegóły techniczne rozbrojeniowych debat genewskich, możemy jednak skonstatować, że one same uciekały z zapałem z terenu technicznego... na teren polityczny.

Nic dziwnego, prym w tej debacie wiedli pp. Litwinoff i Bernsdorf (ten od wojny podwodnej). Rzecz jasna, że w tej debacie rozbrojeniowej Litwinoff stosował taktykę rozbrojeniowego maksymalizmu ad absurdum, bo to leży w interesie Sowietów — by wszystkie możliwe i rozsądne rozbrojeniowe dążenia międzynarodowe unicestwić.

Stabilizacja bezpieczeństwa państw, umożliwiająca ograniczenia zbrojeń — to osłabianie szans międzynarodowej rewolucji — trzeba więc temu przeszkadzać. Czy to będzie taktyka demagogicznej intrygi, czy maksymalizmu rozbrojeniowego, rzekomo demaskującego obłudę burżuazyjną — wszystko jedno, byle włożyć kół w szprychy wozu międzynarodowych uzgodnień.

Drugi partner hr. Bernsdorff mało co jest lepszy (czy lepszy?). Jego taktyka zmierza *do uzyskania możliwości zbrojenia Niemiec* — na tle prac, obrad i wyników genewskiej komisji rozbrojeniowej! Bo to jest obecnie rumakiem, którego dosiadła polityka Niemiec — pod pozorami czy bez pozorów — zbroić się!

Zbroić się — bo przecież Niemcy są zwolennikami *wyłącznie pokojowej dyskusji* i pragną tylko metodami pokojowej dyskusji osiągnąć zmiany swego finansowego i terytorjalnego położenia. Aby więc prowadzić pokojową dyskusję wyłącznie w tym celu, pragną się... zbroić. Temu planowi przyklaskuje i Hitler i Breitszeid! Logika podobnego zbrojenia nie wytrzymuje krytyki, ale sens polityczny jest jasny.

Wielbicielami tego sensu były właśnie Niemcy przedwojenne, Niemcy uzbrojone, Niemcy... „pokojowe"!

Ich pokojowy głos chrzęścił zawsze zbroją dobrze utrzymaną, czy to była rozmowa tak pokojowa, jak znana pod tytułem „Agadir" — czy inna, zawsze ta pokojowa uzbrojowość Niemiec święciła sukcesy, aż przyszła wojna!

Dziś Niemcy są już... przedwojennie pokojowe, ale jeszcze nieuzbrojone. Delegat więc ich na komisji rozbrojeniowej hr. Bernsdorff sił dokłada, aby uzyskać proceduralne preteksty, by ten okres... pokojowego uzbrojenia przyspieszyć.

Taktyka ta wielu delegatom kłopotów przysparza. Zawsze jednak czy to będzie ograniczenie zbrojeń lądowych, czy morskich — dwaj delegaci zaprzyjaźnionych republik, pp. Litwinoff i Bernsdorff, głosują razem.

Ostatnio ku ogólnemu zdumieniu głosował z nimi delegat włoski w sprawie sposobu kontroli zbrojeń morskich. Ta niespodzianka zmniejszyła izolację Sowietów i Niemiec w Genewie, ale czy nie powiększyła wypadkiem izolacji kogoś trzeciego?... Gdyby w słonecznej Italji mróz był strawą codzienną, możnaby myśleć, że przysłowie o nosku odmrożonym na złość mamie i tam dotarło. Ale, że tak nie jest, to raczej można myśleć o taktyce poglądowego wykazywania swej wagi.

Z.





1. ATAK SOCJALISTOW I REPUBLIKANOW NA CENTRALĘ TELEFONOW W MADRYCIE. ZANDARMERJA ROZPROSZYŁA MANIFESTANTOW.

2. ULICE W MADRYCIE PODCZAS ROZRUCHOW ZNALAZŁY SIĘ POD KONTROLĄ ŻANDARMERJI. MANIFESTANCI RZUCALI W WOJSKO KAMIENIAMI.

F. L.

Najpopularniejsze -
mydło świata teraz także w Polsce!

Miljony kobiet używaja od lat mydła toaletowego Lux. Jest ono nietylko nadzwyczaj czyste i pachnące, ale także tanie! Spróbujcie, a zostaniecie mu wierni.

LUX

MYDŁO TOALETOWE

najulubieńsze w świecie.

LTS 2-93



Mnie pomogła wyśmienicie!



Próbkę bezpłatną otrzyma każdy, kto nadeśle niniejsze ogłoszenie do firmy Statter i Klapholz ul. św. Gertrudy 6, Kraków, lub powoła się na to pismo i poda swój adres, dołączając znaczek pocztowy za 25 gr na koszt przesyłki.



SCHERK
BERLIN·NEW YORK·WIEN

Ręczę że i Pani z wyników będzie zadowolona. Skóra twarzy wchłania duże ilości kurzu i zeszpecona jest nadmiernem wydzielaniem tłuszczu. Scherk Face Lotion wnika głęboko w pory i oczyszcza skórę z wszelkich niszczących ją pierwiastków. Przytem jest przyjemna w użyciu i odświeżająca i nadaje się pod każdym względem jako środek do pielęgnowania cery.

Scherk Face Lotion
(Woda do twarzy „Scherk“)

Bracia Sergiu, Warszawa

MARSZAŁKOWSKA 127

o wyrobach „TRETORN"



Przekonałem się, że wyroby marki „TRETORN" dzięki swym zaletom czynią zadość najwybredniejszym życzeniom każdej eleganckiej pani.

Théophile Serghios



Helena Penkalska, tancerka polska, która występowała z powodzeniem w Paryżu, Wiedniu i Sewilli, ukaże się w dniu 7 grudnia r. b. w południe na scenie Teatru Polskiego. Zapowiedź tego występu wzbudziła wśród zwolenników Terpsychory żywe zainteresowanie

HUMOR ZAGRANICZNY

— Najlepiej byłoby dla pana, gdyby pan pogodził się z żoną.
— Najlepiej, panie mecenasie!? Cóż w takim razie byłoby najgorszem?
(Red Cat).

⁂

— Peggy, podobno nasza kura wysiedziała kurczęta.
— O, tak, aż szesnaście.
— No to zagrzej czemprędzej mleka.
— Mleka?...
— Przecież jedna kura nie wykarmi tyle kurcząt...
(Blue Ox).

⁂

— Co i z Piotrem się rozwodzisz? Przecież to wzorowy mąż.
— No tak, ale ma jedno fatalne przyzwyczajenie: wstaje o 2-ej w nocy i oświadcza, że musi już wracać do domu.
(Fantasio).

⁂

Sprawy Gospadarcze

NOWA FUZJA WIELKICH BANKÓW

Jedna z najstarszych na ziemiach polskich instytucji bankowych, „Bank Galicyjski dla Handlu i Przemysłu", założony w Krakowie jeszcze w 1869 r., później przekształcony na „Bank Małopolski", — zlał się obecnie z potężnym Warszawskim Bankiem Dyskontowym. Akcje Banku Małopolskiego były ostatnio w posiadaniu wiedeńskiej Boden Credit Anstalt. Stamtąd też wyszła propozycja fuzji. Po zbadaniu sprawy i upewnieniu się, że fuzja taka odpowiada intencjom Ministerstwa Skarbu, która zmierza już od dłuższego czasu do popierania jedynie mocno ufundowanych banków, Zarząd Banku Dyskontowego wypracował projekt fuzji. Projekt ten uzyskał aprobatę Rady i Min. Skarbu, zaś w zeszłym tygodniu został zatwierdzony przez walne zgromadzenie akcjonarjuszów.

W zamian za swoje akcje, akcjonarjusze Banku Małopolskiego otrzymają 10.000 akcji Banku Dyskontowego. (Za 3 akcje — jedną). Operacja dokonana została bez powiększenia kapitału Warsz. Banku Dyskontowego. Prezes tego Banku, p. Paweł Heilperin, mógł oświadczyć licznie zebranym akcjonarjuszom, że Bank Dyskontowy nabył owe 10 tys. akcji Banku Małopolskiego z własnych funduszów, i że ilość nabytych akcji nie przekeracza $^{1}/_{10}$ części kapitału akcyjnego Banku Dyskontowego Warszawskiego.

Już z początkiem grudnia r. b. Bank Dyskontowy otwiera, w związku z dokonaną fuzją, oddział własny w Krakowie, na Rynku Głównym, w gmachu własnym, który dotychczas był siedzibą Banku Małopolskiego.

Oczywiście, że akcjonarjusze Banku Dyskontowego Warszawskiego przyjęli z wysokiem uznaniem tak szczęśliwie dokonaną tranzakcję. Bank Dyskontowy wysuwa się na czołowe miejsce wśród naszych instytucji finansowych.

CO CZYTAĆ?

„WOJNA POLSKO-ROSYJSKA 1830-31 ROKU“ — „POWSTANIE LISTOPADOWE“ A. BEŁCIKOWSKIEJ, E. BIAŁYNI, ART. ŚLIWIŃSKIEGO oraz POWIEŚCI

Rewelacyjnem jest pod względem źródłowości i opracowania gruntowne studjum prof. Wacława Tokarza pt. „Wojna polsko-rosyjska 1830-31 r.“ Historyk ten oparł się na materjale dotychczas niedostępnym, bo pochodzącym z Rosji. Prof. Tokarz krytycznie go zestawił ze źródłami polskiemi, odrzucił rzeczy nieścisłe, zajął stanowisko odmienne, niż to czyniła dotychczas nasza nauka historji. Praca prof. Tokarza składa się z czterech części: znajdujemy najpierw wiadomości ogólne o siłach i środkach stron walczących, o wybuchu powstania, o mobilizacji sił i środków Kongresówki; dalej prof. Tokarz omawia pierwszy okres powstania, kiedy inicjatywa była po stronie rosyjskiej, to jest do wiosny 1831 r. Trzecia część pracy zawiera okres inicjatywy polskiej aż do chwili odwrotu armji naszej pod Pragę. Okres czwarty zamyka książkę inicjatywą armji rosyjskiej aż do upadku powstania.

Prof. W. Tokarz przedstawił w książce tej nietylko całokształt działań tej wojny, dał charakterystyki wodzów naszych i nieprzyjacielskich, ale i uwypuklił wszystkie te czynniki, które składały się na stan polityczny i gospodarczy kraju. Informuje więc o obszarze, ludności Królestwa, stanie rolnictwa, handlu, przemysłu, budżetu, komunikacji, by tem jaśniej przedstawić wzajemny stosunek walczących sił. W konkluzjach prof. Tokarz wypowiada swoje uwagi na temat: kto ponosi winę za klęskę tej wojny. Nad uwagami temi warto się zastanowić, choć w retrospektywnym sądzie zawsze znajdą się uproszczenia, generalizacje.

Praca prof. W. Tokarza zasługuje na szerszą poczytność wśród inteligencji naszej. Nie jest ona utworem popularnym. Tego rodzaju wydawnictwa, poświęcone „Nocy listopadowej“ i „Wojnie polsko-rosyjskiej“, znajdą się wśród książek, które już oddawna cieszą się zasłużoną poczytnością. Na czoło należy wysunąć barwnie napisaną książkę Artura Śliwińskiego, opatrzoną 16 portretami pod tytułem „Powstanie listopadowe“. Książka ta ukazała się obecnie w 6-em wydaniu. W piątej edycji mamy referat p. Ewy Białyni pod identycznym tytułem.

Nowością jest książka p. Alicji Bełcikowskiej, wydana przez „wojskowy instytut naukowo-wydawniczy“. Treść jej została skomponowana z prelekcji o powstaniu, pieśni powstańców, poezji wieszczów naszych oraz utworów poetów współczesnych o nocy listopadowej i wojnie.

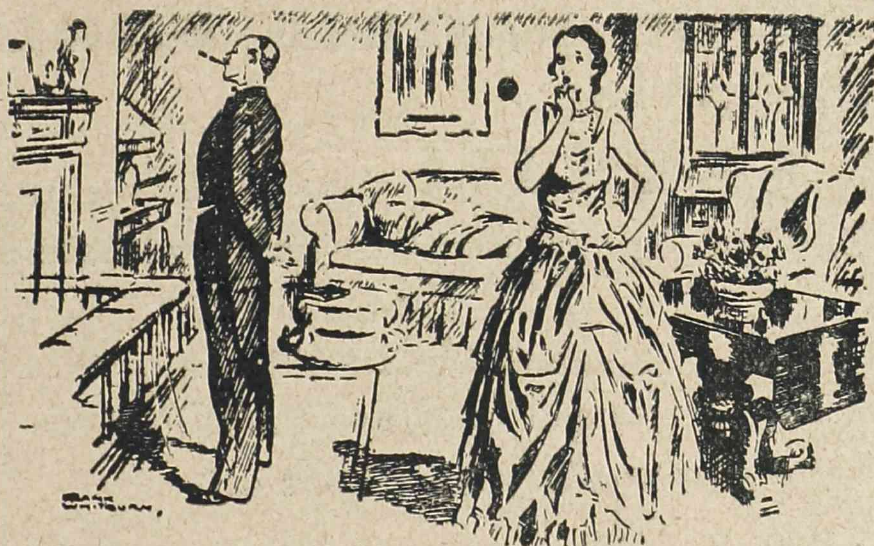
Interesujący jest dział pieśni. Znajdujemy tu 36 utworów powstańczych, z których 32 zaopatrzył w nuty prof. Stanisław Kazuro, znany kompozytor. Opracował on te pieśni na chóry trzygłosowe.

Książkę p. Alicji Bełcikowskiej zdobi 20 ilustracji, stanowiących dzieła batalistyczne najwybitniejszych malarzy oraz portrety wybitnych naówczas postaci. Nadaje się ta praca, jako źródło, do urządzania uroczystości listopadowych dla szkół, związków, organizacji społecznych.

Szeroka publiczność, jak i młodzież, znajdzie wiele interesującego materjału w powieściach, popularyzujących wydarzenia tych czasów. Wacław Gąsiorowski dał „Bema“, „Księżnę Łowicką“, „Emilję Plater“. Walery Przyborowski powieściami „Pod Stoczkiem“, „Olszynka Grochowska“ „Adjutant Naczelnego Wodza“, wyjaśnia również wiele ciekawych epizodów z tej wojny. Dodać należy przytem powieść Stanisława Szpotańskiego pt. „Bez słońca“.

E. C.

HUMOR ZAGRANICZNY



— Gdyby mężczyźni byli równie uprzejmi po ślubie, jak przed ślubem, nie byłoby tyle rozwodów!
— Ale o ile więcej byłoby bankructw! (Candide)



Pielęgnujmy skarby urody

Podczas letnich wywczasów, szczególnie w górach i nad morzem, narażona jest skóra twarzy na szkodliwe działanie słońca i zmian atmosferycznych. W następstwie tych czynników narasta gruba warstwa zrogowaciałego naskórka, co jest równoznaczne z utratą soczystości i świeżości cery. Podczas pobytu zatem w letniskach należy chronić twarz przed szkodliwemi wpływami, stosując D-ra Lustra krem sportowy „Ultrasol", a w braku tego ochronnego środka — puder egzotyczny oraz róż roślinny D-ra Lustra. Po powrocie natomiast winno się przyniszczoną cerę przywrócić do stanu prawidłowego. Wystrzegać się atoli szablonu, ponieważ innych metod wymaga tłusta, innych zaś — prawidłowa i sucha cera. Celem odtłuszczenia tłustej cery, tudzież usunięcia twardego naskórka, wystarcza częste spłókiwanie twarzy wodą, mycie proszkiem marmurowym „Miraculum" oraz naparzanie nad parą, *bez natłuszczenia*. Prawidłową cerę myje się gorącą wodą i mydłem śmietankowem „Miraculum", suchą zaś — otrąbkami migdałowemi D-ra Lustra, przy pomocy gorącej wody. W obu wypadkach natłuszczać twarz tak przed myciem, jak i naparzeniem kremem „Mira" D-ra Lustra.

Dr Zenon B.

KAŻDY CZYTELNIK I PRENUMERATOR NASZEGO PISMA

MOŻE UZYSKAĆ BEZPŁATNIE

WARTOŚCIOWE PREMJE!

Kto zechce się podjąć z okazji 25-lecia „ŚWIATA" propagandy naszego pisma i zdobędzie nowych prenumeratorów otrzyma w nagrodę

Kupon do zrealizowania wedle wyboru w jednym z najpoważniejszych sklepów w Warszawie. Spis tych sklepów zamieścimy w jednym z najbliższych numerów.

Kupony wydawać będziemy według następującej skali:

za każdego prenumeratora na przeciąg jednego kwartału kupon wartości	**4 Zł.**
„ „ „ „ „ pół roku „ „	**9 „**
„ „ „ „ „ trzech kwartałów „ „	**13 „**
„ „ „ „ „ całego roku „ „	**20 „**

KUPONY te mogą być zrealizowane w administracji do opłacenia prenumeraty „ŚWIATA" wskutek czego można przy pewnym wysiłku OTRZYMAĆ NASZE PISMO DARMO.

Wpłaty na prenumeratę należy uskuteczniać na nasze konto P. K. O. 3.755, a zgłoszenia należy kierować pod adresem **Administracja „Świata" Warszawa, Szpitalna 12**

HUMOR ZAGRANICZNY

Nowoczesna panna: — Jak pan może opowiadać mi takie dwuznaczne kawały!... znam je już oddawna.

(Detroit News)

*

— Jestem już czwarty raz na tym filmie.
— Czyżby się tak panu podobał?
— E, nie. Film jest marny. Posiada tylko jedną dobrą scenę. Tę mianowicie, w której urocze dziewczę szykuje się do kąpieli. Cóż, kiedy ma zrzucić koszulkę, nadjeżdża przeklęty pociąg i nic nie widać. Przychodzę więc codziennie, bo przecie kiedyś ten wstrętny pociąg — spóźni się.

(Karikaturen).

SŁOWIK HISZPAŃSKI W WARSZAWIE



W Operze warszawskiej występuje obecnie świetna śpiewaczka hiszpańska, p. Mercedes Capsir. Fotografja przedstawia artystkę w otoczeniu męża, p. Wiktora Tenri, bogatego przemysłowca włoskiego i p. Leona Wienera, który zajmuje się interesami artystycznemi pani Capsir w Polsce. Pani Capsir posiada niezwykłej piękności głos sopranowy i fenomenalną wprost technikę koloraturową. W muzykalnych kołach Warszawy występy jej wywołały bardzo żywe zainteresowanie

PRACA SPOŁECZNA ZIEMIANEK PIŃSKICH



Przy Okręgowem Towarzystwie Organizacji i Kółek Rolniczych w Pińsku istnieje Sekcja Kół Gospodyń Wiejskich, której zadaniem jest praca wśród kobiet wiejskich. Dział to specjalnie trudny na terenie T-wa w Pińsku. Chcąc dać dowód, że przy małych wydatkach i dobrej woli można gospodarstwo kobiece zrobić gospodarstwem dochodowem, Sekcja Kół Gospodyń Wiejskich zorganizowała wystawę gospodarstwa domowego, przemysłu ludowego, drobiu i ogrodownictwa w dniach 5 i 6 października b. r., która poglądowo wykazała, jak owocną jest działalność S. K. G. W. na terenie poleskim i jakie postępy uczyniła S. K. G. W. w celu podniesienia dobrobytu i kultury wśród ludności włościańskiej tej najbiedniejszej części Polski

HUMOR ZAGRANICZNY

NA PRZYJĘCIU.

Pani domu: — Jest pan artystą, panie Plinnes, a pani Tompkins ma córeczkę, która ślicznie rysuje, będziecie sobie mieli dużo do powiedzenia.

(„New-Yorker Album")

PRENUMERATĘ „ŚWIATA" PRZYJMUJĄ:
W WARSZAWIE: Administracja „ŚWIATA"
SZPITALNA 12. Telef.: Administracji 504-00 i 501-51
Konto czekowe P. K. O. 3755
ORAZ WSZYSTKIE WIĘKSZE KSIĘGARNIE

W ŁODZI: Biuro dzienników i ogłoszeń „Promień", Piotrkowska 81. Księgarnia „Czytaj", Narutowicza 2. Księgarnia Ludwika Fiszera, ul. Piotrkowska 47. W KATOWICACH: Księgarnia Ludwika Fiszera, Poprzeczna 1. We LWOWIE: Oddział Tow. „Ruch". POZNAŃ: ul. Gwarna 16. Centrala Gazet **L. Robowska. CENY PRENUMERATY: w Warszawie** odbiór na miejscu miesięcznie 5.— zł., z odnoszeniem do domu 5.50 zł., na prowincji miesięcz. 6.— zł. kwartalnie 18.— zł. Zagranicą miesięcznie 8.— zł.

Cena numeru w Warszawie, na prowincji i na wszystkich dworcach kolejowych **1 zł. 40 gr.**

Redaktor odpowiedzialny *St. Krzywoszewski.* Druk. Galewski i Dau, Warszawa